





I, 414.949

Iwan Franko



Obrazki galicyjskie

~~272~~



H. Łach

L w ó w

Nakładem Księgarni Polskiej.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

I. 414.949

Nieco o sobie samym.

Są pisarze, których życiorys jest bardziej zajmującym, niż ich utwory, których utwory są tylko przyczynkami do ich charakterystyki, częstkami ich życiorysu. To geniusze, wybrańcy losu, wielcy i oryginalni w dobrym i złym, w szczęściu i cierpieniu. To koryfeusze literatury, twórcy nowych kierunków. Można ich nazwać wykładnikami tego czasu, w którym żyli, a ich życiorys w każdym razie będzie mniej lub więcej głębokim wniknięciem w tajnie ducha ich epoki, gdyż w nich streszcza, urabia się niejako ten duch, znajduje swój najpotężniejszy wyraz. Zdaje mi się, że tylko tacy pisarze zasługują na szczegółowe i z całym aparatem źródłowym opracowane biografie, gdyż życie ich, samo przez się, jest arcydziełem takim, jak ich utwory, samo przez się, nawet nieudolnie opowiedziane, wzbogaca skarbnicę ducha ludzkiego.

Po za szczupłym gronem tych olbrzymów kroczy ogromna rzesza pisarzy-robotników i rzemieślników, mniej lub więcej utalentowanych, mniej lub więcej pracowitych, wpływowych, poczytnych i zasłużonych, lecz nie dorastających do miary owych mistrzów. Pieką oni, jak mówił Kraszewski, chleb codzienny dla konsumcyi umysłowej, rozkruszają na drobną monetę te bryły złota idealnego, jakie wydobyli mi-

strze z tajemniczych głębin natchnienia, wypełniają swą pracą stworzone przez nich ramy. U tych ludzi zazwyczaj bibliografia ich utworów starczy za życiorys, człowiek niknie niejako po za tem, co zrobił. Tacy pisarze nie znajdują biografów; oni są jak robotnicy, którzy pomagają wznosić gmach cywilizacyi, ale których nazwisk nie wypisuje się na frontonie tego gmachu.

Jako jeden z tych robotników, dokładających cegłę po cegle do owej budowy, nigdy żywiej nie odczuwałem tego swego charakteru, jak w chwili, gdy z obowiązku przyzwitości mam się zaprezentować publiczności polskiej, której podaję do rąk zbiorek swych obrazków nowelistycznych. Co jej mam o sobie powiedzieć? Żem się urodził? No, ten nieszczególny wypadek zdarzył się każdemu z nas, szanowni czytelnicy. Żem się uczył cokolwiek? Żem kochał i cierpiał? wszakże i Faryzeusze czynią to samo, mówiąc słowami Pisma świętego. A po za tem nic niemasz w mem życiu godnego uwagi prócz tej świerzbączki do pisania, prócz popędu do obserwowania życia ludzkiego w jego najróżnorodniejszych przejawach, prócz tej nieukozonej nigdy i niezem gorączki, która mię zmusza przejmować się cierpieniami i radościami, myślami i marzeniami innych ludzi. Lecz i te wszystkie patologiczne przynioty nie są niezem charakterystycznym dla mnie, to, zdaje się, zwykłe cechy rzemiosła piarskiego.

Was ist denn an dem ganzen Wicht
Originell zu nennen?

Na to pytanie Götthego odpowiadam: Chyba to, że jestem Rusinem, pochodzącym prawdopodobnie od zrusinionych kolonistów niemieckich, że ojciec mój był zwykłym chłopem i robił pańszczyznę — nie żadnemu dziedzicowi, lecz ck. ka-

merze, nie umiał ani czytać ani pisać, lecz mimo to był człowiekiem światłym i oddał mię, chorowite i do chłopskiej pracy nieudolne dziecko, do szkoły. Dotychczas wyjsie z pod chłopskiej strzechy na szerszą widownię publiczną bywa u nas rzeczą nadzwyczaj rzadką. Urodzony w r. 1856 w Nahujowicach, pow. drohobyckiego, uczęszczałem przez 2 lata do wiejskiej szkoły w Jasienicy solnej, potem do t. zw. normalnej szkoły u ks. Bazylanów w Drohobyczu, a następnie także do gimnazjum. Złożywszy egzamin dojrzałości, uczęszczałem na uniwersytet we Lwowie, lecz studia moje przerwał proces socjalistyczny 1877—8 roku, w który zostałem wmieszany Bóg wie dlaczego: ba, nawet zasądzony na 6-tygodniowy areszt (po 8 miesiącach więzienia śledczego!) za należenie do tajnego towarzystwa, do którego w istocie nigdy nie należałem i które, o ile wiem, nigdy nie istniało. A więc jeden z niewielu oryginalnych rysów w mem życiu, bo rzecz podobna nie każdemu się zdarzy!

Dalszy opis mego życia zastąpić może bibliograficzny spis mych prac, lecz ten pozostawiam Estreicherom 20-go wieku, jeżeli wogóle któremu z nich zechce się grzebać w stosach codziennie zadrutowywanej libuły, stanowiących kwintesencję naszej produkcji literackiej. Powiem tylko pokrótce, że odtąd byłem jeszcze parę razy uwięziony i zawsze puszczany na wolność bez rozprawy, że mimo to skończył uniwersytet i nawet, ku wielkiemu rozgoryczeniu niektórych moich bliższych braci Rusinów, odważyłem się zdać z wyszczególnieniem doktorat ze slawistyki we Wiedniu i habilitować się na wykłady literatury ruskiej w uniwersytecie lwowskim. Zjednoczonej koalicji rządowców z inkarmerowanymi Rusinami udało się uratować Ruś od takiego nieszczęścia, jakim niewątpliwie byłyby się stały moje wykłady.

„Bóje się Boga, jak można tego człowieka puścić na uniwersytet! Patrzenie tylko, w jakim on podartym surducie chodzi!“ Tak ukwalifikował moją kandydaturę brat Rusin — ten sam, który za swą patriotyczną pracę około dobra Rusi i Austrii pobiera sześć czy siedem plac. Rzecz oczywista, że wobec takiego argumentu kandydatura moja na — prywatnego docenta musiała upaść, a motyw „politisches Vorleben“ był tylko przywoitszem przykryciem istotnej przyczyny... Lecz nie chcę być oskarżycielem. Z goryczą czynić zwykłem to samo, co ks. Baudouin, który gdy go uderzono w twarz, rzekł: „To dla mnie, panie, a cóż dla dzieci?“ Rzecz oczywista, dla dzieci — w danym wypadku dla publiczności, trzeba czegoś innego. A więc zamiast szczegółów biograficznych parę wyznań.

Przedewszystkiem przyznaję się do grzechu, który mi wielu patriotów poczyta za śmiertelny: nie kocham Rusinów. Wobec tej gorącej miłości, jaka dla „bratniego plemienia“ bryzga często ze szpalt polskich pism zachowawczych, moje wyznanie wydać się może dziwnem. Lecz cóż czynić, kiedy prawdziwe. Nie jestem już w wieku naiwnych i zaślepionych kochanków i mogę o takiej delikatnej materii, jak miłość, mówić trzeźwo. I dlatego powtarzam: nie kocham Rusinów. Tak mało spośród nich znalazłem prawdziwych charakterów, a tak dużo małostkowości, ciasnego sobkostwa, dwulicowości i pychy, że zaiste nie wiem, za co bym miał ich kochać, nawet pominiawszy te tysiące większych i mniejszych szpilek, jakie mi, nieraz w najlepszej intencji, wbijali pod skórę. Rozumie się, znam parę wyjątków, parę osobistości czystych i godnych wszelkiego szacunku między Rusinami (mówię o inteligencji, nie o chłopach!), lecz te wyjątki niestety tylko stwierdzają ogólny wniosek.

Przyznam się do jeszcze większego grzechu: nawet Rusi naszej nie kocham, tak i w takiej mierze, jak to czynią, lub jak udają, że czynią patentowani patrioci. Co w niej mam kochać? By ją kochać jako pojęcie geograficzne, na to zbyt wielkim jestem wrogiem czczych frazesów, zbyt dużo widziałem świata, bym miał utrzymywać, że nigdzie niema tak ładnej przyrody, jak na Rusi. By kochać jej dzieje, na to zbyt dobrze je znam, zbyt gorąco kocham ideały ogólnie ludzkie sprawiedliwości, braterstwa i wolności, bym nie miał czuć, jak mało w dziejach Rusi przykładów prawdziwego ducha obywatelskiego, prawdziwego poświęcenia, prawdziwej miłości. Nie, kochać te dzieje bardzo trudno, bo prawie na każdym kroku trzeba by płakać nad nimi. Czy może mam kochać Ruś jako rasę — tę rasę ociężałą, niesformą, sentymentalną, pozbawioną hartu i siły woli, tak mało zdolną do życia politycznego na własnym śmieciu, a tak płodną w perekińczyków najrozmaitszego gatunku? Czy może mam kochać świetną przyszłość tej Rusi, której nie znam, dla której światłości żadnych nie widzę podwalin?

Jeżeli mimo to czuję się Rusinem i według możliwości i sił mych pracuję dla Rusi, to, jak widzisz szanowny czytelniku, weale nie z powodów sentymentalnej natury. Skłania mnie do tego przedewszystkiem poczucie psiego obowiązku. Jako syn chłopca ruskiego, wykarmiony czarnym chłopskim chlebem, pracą twardych rąk chłopskich, czuję się do obowiązku pańszczyzną całego życia odrobić te szelągi, które wydała chłopska ręka na to, bym mógł się wydrapać na wyżynę, gdzie widać światło, gdzie pachnie swoboda, gdzie jaśniejają ideały wszechludzkie. Mój patriotyzm ruski, to nie sentyment, nie duma narodowa, to ciężkie jarzmo przez los włożone na moje barki. Mogę się zżymać, mogę po

chichu przeklinać los, że mi włożył na barki to jarzmo, ale zrzucić go nie mogę, innej ojczyzny szukać nie mogę, bo bym się stał podłym wobec własnego sumienia. I jeżeli co ułatwia mi dźwiganie tego jarzma, to widok tego ludu ruskiego, który, chociaż gnębiony, ociemniany i demoralizowany długie wieki, chociaż i dziś ubogi, niedołączny i nieporadny, przecież pomalu podnosi się, czuje w coraz szerszych masach żądzę światła, prawdy i sprawiedliwości, i szuka dróg do nich. A więc warto pracować dla tego ludu, i żadna uczciwa praca nie pójdzie na marne.

Nazywają mię nieraz gorliwi patryoci polscy nieprzyjacielem Polaków. Co mam powiedzieć na taki zarzut? Czy powołać się na świadectwo tych Polaków i Polek, których kocham, których wysoko cenię i dla których mam wszelki szacunek? Nie, pójdę prostszą drogą i powiem otwarcie: nie lubię zbyt gorliwych patryotów, tych, którzy mają usta pełne Polski, a których serce zimne jest dla niedoli chłopca lub najemnika polskiego. Sceptycznie analizując swój własny patryotyzm ruski, stosuję tę samą miarę i do patryotyzmu patentowanych patryotów polskich i nie mogę w nich zasmakować. I nie dziwię się, że mi płacą tą samą monetą z so-witym procentem.

Mówiono o mnie, że nienawidzę szlachty polskiej. Jeżeli do szlachty polskiej zaliczyć Orzeszkową i Konopnicką, Prusa i Lenartowicza, Ostoję i Karłowicza — to zdanie takie o mnie będzie najzupełniej niesłuszne, bo tę prawdziwą szlachtę polską, tę elitę narodu polskiego cenię i kocham, jak kocham wszystkich ludzi szlacheckich własnego i każdego innego narodu. Że takim samem uczuciem nie ogarniam tego lub owego szlacheica galicyjskiego lub nawet większej ich części, to zapewne z powodów wręcz odmiennej natury

od tych, jakie mię powodują kochać tamtych. Jeżeli pośród szlacheców galicyjskich znajdę kiedy jakie sympatyczne wyjątki, nie omieszkać uderzyć o nich w wielki dzwon.

A teraz dość tej spowiedzi. Ruskie przysłowie mówi: Nie rób się słodkim, bo cię zliżą, nie rób się kwaśnym, bo cię oplują. A w takich opowiadaniach o sobie samym nic łatwiejszego, jak wpaść w jedną lub drugą ostateczność. Czuję, że i tak już powiedziałem nie jedno, za co mi się z różnych stron dostaną cięgi, ale niech i tak będzie! Tego, com powiedział — nie cofnę i zakończę przysłowiem ruskiem: „Dobre tak mojj zinci, naj mene bjut.“

Dr. Iwan Franko.

Dwaj przyjaciele.

— Et, co to wam kumie mówić o przyjaźni. Przyjaciele, przyjaciele! A ja wam nie wiem co w zakład postawię, że na świecie nie ma ani prawdziwej przyjaźni, ani przyjaciół prawdziwych. Nazwijcie mię, jak chcecie, gadajcie, co się wam żywnie podoba, ja swoje powtarzać będę! Bo i cóż to przyjaciel? Czy znajdzie się taki, coby was wspomógł w biedzie, w nieszczęściu poratował? Ot, jeżeli chcecie, to ja wam zaraz opowiem historję, żebyście się przekonali, jak to dzisiaj nie warto liczyć na przyjaciela!

Wszak wiecie sami, w jakiej to żyłem przyjaźni z Chomą Wrzosem. Bo i jakże nie mieliśmy się pobratać! Obaj, jak wiecie, byliśmy parobkami, jakich nie wielu znajdzie się w siole. Chłopcy, niby dębczaki, młodzi, żwawi, krzepcy. Nie skrzywdził Bóg rodziców naszych na dostatku, ani nas samych na ochocie do pracy. Postroimy się bywało w niedzielę, jak Bóg przykazał, nie wstyd nam pokazać się między ludźmi. A dziewczuchy! Ech, zwijałyż się koło nas, zwijały!

Zwyczajnie, chłopcy dziarscy i nie z byle jakiego rodu. Drużbowaliśmy tedy z Chomą, aż miło. Czy bywało w las po drzewo, czy w oczerety ze strzelbami na

kaczki, do tańca, czy też w innej jakiej sprawie, my zawsze razem i razem. I nie było między nami swarów, niezgody.

— Semen — mówi bywało Choma — wyjdź tam jutro na moją sianożęć podciąć trochę trawy, twoja już skoszona.

To i czemużby mi nie wyjść. Wyjdę — mówię mu — z ochotą.

Innym' znów razem powiadam ja do Chomy:

— Przyjacielu, nie masz już nic do roboty, ot weźno naszą sieć i ponaprawiaj, wybierzem się do Dniestru na ryby.

— A dobrze — mówi Choma i nie czekając długo naprawia sieć.

Nasza wieś, jak wiecie, nad samym Dniestrem rozłożyła się na równinie. Obaj z Chomą kochaliśmy się w rybołówstwie. Pójdziem bywało czy to z sakami, czy z siecią na ryby i nałowim takiej ślicznoty, że warto popatrzeć!

Tak więc żyliśmy z Chomą, jak bracia rodzeni. Nieraz dziwili się ludzie. Jak oni — powiadają — zgodzić się mogą ze sobą? Wszak to niby ogień z wodą! Ja bo, widzicie, z urodzenia powolny sobie, a Choma prędki, jak iskra. Ale co tu długo mówić, poprzyjaźnili się, to nie pora było oglądać się poza siebie. Godziliśmy się jakoś wzajemnie. Żeby w gromadzie naszej była taka zgoda przy wyborach nowego wójta, tobyśmy z pewnością nie mieli takich tarapatów, jak to zwykle bywa.

Eh, lata, lata młode! Świącili byście się dla każdego parobka, gdyby nie ta straszna wiedźma — bran-

ka. Dzisiaj to jeszcze jako tako. Wezmą cię do woj-ska, no i cóż począć, ale bodaj człowieka uważają za człowieka, nie zbytują się, jak nad bydłkiem jakim. Prawda, że i dziś jeszcze dostanie niejeden swoje, zanim się tej musztry wyuczy, ale gdzież to podobne do tego, co dawniej bywało? Zresztą i starzy ludzie mówią: póty się pies pływać nie nauczy, póki mu się w uszy nie naleje; bez pracy nie ma kolaczy. Teraz bo i sam asentyrunek nie taki straszny jak dawniej bywało. Stawisz się człeku raz, drugi i trzeci, nie wezmą cię, wypiszą i już są wolny, choć zaraz żeń się, albo do woli hulaj po dawnemu. Ale za moich czasów nie takim wszystko szło trybem! Chroń was Boże od czegoś podobnego! Dawniej bywało mandataryusz sam spisuje i podaje kogo mu się podoba do asentyrunku, nie pytając, czy stawileś się trzy, czy sześć, lub i piętnaście razy. W ten sposób nie jeden i dziesięć i piętnaście lat w wiecznym żyje strachu... Ot, myśli sobie, spadną żandarmi, zakują w łańcuszki i dalejże pod miarę! Bo trzeba wam wiedzieć, że i asentyrunek dawniej inaczej się odbywał. Nie chodzili chłopcy sami do becyrku, nie stawili się, jak dzisiaj, ale każdy z popisowych uciekał i krył się, gdzie jeno mógł, a mandatary z żandarmami ścigali biedaków po wszystkich kryjówkach. Żle było wówczas żyć na świecie bożym.

Było to, jak dziś pamiętam, w same zapusty. Po siole gruchnęła nagle wieść, że zapisano nas do asentyrunku. Boże, ścisnęło mię coś za serce, kiedym to usłyszał. A mój Choma aż zdrętwiał cały — serdeczny mój.

— Nie czekajmy, Semen, powiada, aż zle do nas przyjdzie, uciekajmy!

— Uciekajmy! — mówię i ja, i bez namysłu pobiegłem do domu zebrać się w drogę. Ojciec, matka i wszyscy swoi, skoro usłyszeli, co się dzieje, aż pobledli ze strachu i posmutnieli z żalu.

— Synu, mój synu! zawodziła macierz — jednego cię mam na świecie, jak jedną duszę u Boga i tego chcę mi ciężkie wrogi wydrzeć, zabrać pociechę moją.

— Cicho stara — przemówił ojciec przez łzy — nie wstrzymuj go, niechaj idzie, może go Bóg ustrzeże od ciężkiej niedoli! Zbieraj się nieboraku. Pożegnaj matkę i siostry — pójdziem, odprowadzę cię za siło.

Zebrałem się, pożegnałem najmilszych, matczyńsko omdleli, kiedy wyszedłem z chaty.

— Semen, Semen — wróć się! — krzyknęła. — Wróciłem.

— Niechaj raz jeszcze spojrzę na ciebie, synku mój, sokoło jasny, duszyczko ty moja! Może to już ostatni raz patrzę na ciebie.

— Uspokójcie się matko, Bóg łaskaw! — rzekłem drżącym głosem, całując starą macierz w kolana, a tu tymczasem samemu ledwie że serce z żalu nie pęknie.

Poszliśmy z ojcem dołem ogrodami nad Dniestr. Tam czekał już na mnie Choma. Ojciec pobłogosławił nas, obdarzył radą na drogę, nauczył gdzie najlepsze kryjówki; pożegnaliśmy się i w drogę.

Oj, nabiedowałże się człek do wiosny, nabiedował. Boże jedyny, ty jeden wiesz o naszej niedoli. Uciekając z miejsca na miejsce, słyszymy to w tem, to w owem siole gospodarzą żandarmi, szukają zbiegów, tego i owego ujęli. Nas jakoś jeszcze Bóg ochraniał od nie-

szczęścia. Trzymaliśmy się też ciągle nadniestrzańskich okolic — moczarów i oczeretów.

A tu naraz mówią nam w jednej wiosce: Uciekajcie w pole, żandarmi z dwóch stron nadchodzą; przyszukują oczerety, wyłowią was, jak ryby w saku. Dołoż niebezpieczeństwa, gdzie się tu podziać? O ukryciu się we wsi niema i mowy; uciekać w pole, znaczyłoby to samo chęć leżeć w ręce żandarmów: bo pola nagie, lasku ani potoku nie widać dokoła; przychwycą, jak amen w pacierzu, chybabyśmy mieli zajęcze nogi, albo chybabyśmy się w mysią norę skryli.

— Chomo, przyjdzie nam tu zginąć pono, mówię — opuściwszy ręce. Nie spaliśmy już trzy noce, zmęczeni, zmordowani, ledwie dyszymy. Nie mamy siły ruszyć krokiem, a cóż dopiero uciekać po polu.

— Wiesz co — rzekł naraz Choma. — Pójdź za mną.

— Dokąd?

— Nie pytaj, chodź, jeżeli nie chcesz zginąć jak ruda mysz.

Znałem gorącą naturę Chomy, nie rzekłszy więc ani słowa, wysiłam się i idę. Po drodze myślę sobie: Boże mój i to ma być przyjaciel, towarzyszyć szczery! Prowadzi mnie niewiadomo dokąd i słówkiem nie piśnie, nie pocieszy, nie poradzi. Hej świecie mój jasny, dolo niebezpieczeństwa!

Prawda, że dotychczas nieraz stawał mi Choma w ciężkiej przygodzie, ratował mnie, nie zważając na własne niebezpieczeństwo; no, ależ i ja nie opuszczałem go w żadnej potrzebie — słuchałem go we wszystkim jak ojca.

I teraz nie spieram się zgoła, ale dążę w ślad za nim.

Tak rozmyślając w duchu ideę, wlokąc za sobą utrudzone nogi, ideę przez wieś zlakami, w ślad za Chomą i patrzę tylko, kędy mię powiedzie.

— Hou! — rzekł Choma, stanąwszy przed biedną chatą na samym końcu siola — tutaj odpocznem.

— Tutaj, odpoczywać? — krzyknąłem zdumiony. — Chomo, a tobie co się stało? Wszakże to skrajna chata; dokoła pusto i nago, jak w polu, tutaj nas znajduję i schwyca, jak wróbla w sidła.

— Tu musimy odpoczywać! — rzekł znowu Choma chłodno i uparcie. — Nie mam już siły iść dalej!

— Ależ, człowieku, bój się Boga! — krzyknę — leziesz samo chcąc w matnię! Co się z tobą dzieje, czy cię rozum opuścił, czy co? Ja tutaj nie będę spoczywał za żadne skarby świata.

— Nie będziesz? Ha, to jak wola, a ja tu odpocznę.

— To chodźże bodaj do tego tam oto stogu, zagrzebiem się w siano. Nie bądźże szalonym człowieku, nie wyzywaj sam siebie!

— Ja się stąd krokiem nie ruszę! — rzekł znowu twardo Choma i wszedł do chaty.

— Boże mój jedyny — oto mi przyjaciel, to towarzysz szczery! Chce mnie i siebie oddać na rzeź oczywistą. I nie ustąpi od swego, choć giń! Uprze się, jak kozioł rogami. Jezu mój, Jezu, chroń mię od złego i od takiego przyjaciela!

— I cóż tu teraz począć? powiadam sam do siebie. — Przyjdzie mi chyba ginąć samemu. Ech, — myślę znowu — mam ja gdzieindziej przepaść, a Choma gdzieindziej? Lepiej już nam chyba ginąć razem! — I wstąpiłem za Chomą do izby.

— A co, namyśliłeś się, poszedłeś po rozum do głowy? — pyta Choma kpiąc wyraźnie. Boże mój, on jeszcze wyśmiewa się z mej niedoli!

Chata, do której wstąpiliśmy, była to na pół rozwalona stara klecionka, mieszkanie ślepego dziada żebraka. W lecie tylko przemieszkował on tu czasami, zimę przesiadywał w siole, a i latem często całymi tygodniami włóczył się po wsiach za żebranym chlebem. Nie zastaliśmy go zatem w mieszkaniu. Chacina była zamknięta zasuwą, ale Choma otworzył drzwi kawałkiem patyka. W izdebce nic nie było, oprócz kilku torb, dziadowskiej palicy, czapki pozoszywanej z mnóstwa latek i kilku jeszcze innych łachmanów.

Patrząc na to wszystko dziwilem się, dlaczego to mój Choma tak się cieszy i biega jak szalony po izbie.

— Hej, Semen — mówi do mnie — ty, jak widzę, drzwi zasunąłeś! Nie zasuwasz, ale i owszem odchył je trochę, tutaj duszno.

Jezusie mój miły, ten człowiek, jak się patrzy, rozum postradał!

— Otwórz drzwi i odchył je na roścież, słyszysz? — huknął na mnie.

Cóż było robić! Musiałem usłuchać szalonego.

— Rozbieraj się i kładź się spać, trzeba ci spocząć, bo w nocy ani na włos nie zmrużym oka.

Ostłupiałem na te słowa, wytrzeszczyłem oczy, sam nie wiedząc, co się ze mną dzieje.

— Hejże, słyszysz niezdaro, rozbieraj się i śpij! Kiedy będzie czas w drogę, obudzę cię.

Na te słowa zakłapało mi w sercu, jak w kotle. Łzy zaświeciły mi w oczach.

— Chomo! — mówię z płaczem, — co się tobie stało? Czy nie masz Boga w sercu, czyś ty zapomniał, że masz rodziców, czy zapomniałeś o tem, że żandarmi nadejdą lada chwila? Człowieku, co robisz, nie gub mnie i siebie! Wszakże niedawno jeszcze byliśmy przyjaciółmi od serca, kochałem cię szczerze jak rodzzonego brata! Cóżem ci ja teraz zawinił, za co mnie chcesz zgubić, pozbawić lat młodych?

I cóż, myślicie może, że Chomę słowa te skruszyły? Bodaj tak psy trawę jadły! Odwrócił się od mnie, jakby nie człowiek; potarł, jak się zdaje, dłonią po czole, czy też po twarzy i w śmiech.

— Cha, cha, cha! Oto mi parobek! — śmiał się. — Zawąchał biedę, jak ten ślepiec kielbasę w barszczu i dalejże zawodzić: ginę, nie ma mnie!

Otóż macie szczerego przyjaciela! I spuście tu się na takiego człowieka! Ale posłuchajcie tylko, jakiego to on mi figla wyplatał.

— Semen — mówi Choma po chwili łagodniej już trochę. — Semen, bracie mój, czy myślisz, że ja cię nie kocham, że nie oddałbym życia za ciebie? Chyba zapomniałeś, żeśmy obaj na jednej drodze? Nie myślże sobie, że mi się w głowie przewróciło, że chcę cię zgubić. Rób tylko to, co ci powiem, a zobaczysz, że wyjdziemy na swoje.

Słowa te uspokoiły mię trochę, a zresztą, cóż było począć? Rozebrałem się, pościeliłem sukmanę na ziemi i ległem. Ale gdzie mi tam było do spania! Drzę na całym cieple, jak ryba w matni. Bo i komużby się chciało spać w takim nieszczęściu?

Choma nie kładł się zgoła. Chodził tylko z kąta w kąt po izbie.

Co zamysłał począć? Bogi to wiedzą, ja domyśleć się nie mogłem.

— Semen — mówi naraz Choma, widząc, że nie mogę zasnąć — masz, wypij!

I podał mi sporą czarkę gorzalki. Miał pełną flaszkę w swej sakwie podróźnej, czarkę zaś znalazł w jakimś zakątku.

Wypiłem. Trunek był silny, jakieś miłe ciepło objęło mię całego, zmęczenie poczęło się znowu dawać we znaki; za chwilkę zasnąłem snem twardym jak kamień.

Jak długo spałem, tego nie wiem; zbudził mię dopiero głos Chomy, który krzyknął na mnie krótko:

— Semen, wstawaj, żandarmi!

Ostatnie słowo, jak piorun z nieba otrzeźwiło mię w jednej chwili.

— Gdzie, gdzie? — pytam zrywając się na równe nogi.

— Nie pytaj, ale rób, co ci każe!

— Cóż mam robić?

— Zamknij oczy i nie otwieraj ich, żeby tam nie wiem co się w koło ciebie działo. Pamiętaj!

— Dobrze, dobrze.

— A teraz weź to w rękę!

Wziąłem. Był to kawał sznurka, czy też krajki.

— Trzymaj się silnie.

Ścisnąłem sznurek w dłoni.

— A teraz pójdz za mną.

Poszliśmy.

Przez drogę słyszę krzyk jakiś, płacz, zawód, ryk bydła, szeczekanie psów, pod nogami błoto; idziemy siólem, jak się zdaje.

— Chomo, dla Boga, kędy ty mnie wieszysz?

— Ani słowa, kpie jakiś, żandarmi nadchodzą! — szepnął mi swoim ostrym głosem. Zamarłem ze strachu.

— Teraz to już pewnikiem zginąć przyjdzie, — myślę sobie. — Przepadła koza, przepadła i brzoza.

Idziemy dalej, podemną kolana dyl, dyl, dyl.

Wtem nagle słyszę:

— A skąd wy, dziady? — pyta głos jakiś ostry, surowy.

— To pewnie żandarm, myślę sobie. No, Boże, zmiłuj się nad naszą grzeszną duszą. Zaraz się do nas zwróci. Dziwi mię tylko, dlaczego wprzód odzywa się do jakichś dziadów.

Cichy, drżący głos dziadowski odzywa się tuż koło mnie:

— Z szerokiego świata — panoczku łaskawy! My Boże starce, bracia bliźni. W potoku kapali się, w wodzie nurzali się; kiedyś go podplawił, biednemu oczu pozbawił; pogubiwszy oczy w wodzie, teraz ślepcem za mną chodzi.

— Cha, cha, cha! — zaśmiało się kilka głosów.

Boże łaskawy, tu ich musi być nie mało. I czemu nas nie chwytają, nie wiążą, nawet nie spytają o nas jednym słówkiem?

— Gdzie mieszkacie, włóczęgi? — pytał znowu surowy głos, ale już jakby na pół ze śmiechem.

— Daleko panoczku, daleko — za dziesiątą górą, za dziesiątą rzeką. Nasza chata z badyli po nad

wodą się chyli, strzęcha z liści buraka, zasuwą z lyczaka.

Znowu śmiechy dokoła, my stoimy na miejscu jakby nic nie było. Drzę na całym ciecie i trzymam się silnie za sznurek, nie śmiąc już naprawdę spojrzeć na świat oczyma. Myślę sobie tylko: niechaj będzie, co chce, zobaczę, jak się to skończy.

— Jakiś bestya wesoly! — rzekł naśmiawszy się z dziadów surowy głos. — Ale chodźmy już. Zdaje mi się, że w tej oto stercie za wsią uda się nam złowić jakiego ptaszka.

Słyszałem, jak żandarmi, śmiejąc się, poszli dalej zdumiony nie wiedziałem, gdzie się znajdują.

— Pójdź ślepy mój bracie! — wołał dziadowski, przęsając głos, zawsze jeszcze tuż koło mnie — pójdźmy tam, gdzie wiatr świszczce — na wietrze się położymy, wietrzykiem się otulimy, wiatr pod głowę pokładziemy i ciepłutko zaśniemy.

— Złodziej z swojemi przymówkami! — doleciało mię zdaleka. Choma szarpnął za sznurek. Poszedłem za nim, zawsze jeszcze nie wiedząc dokładnie, czy to sen, czy jawa.

Szliśmy tak długi czas jeszcze.

— No, otwórz wreszcie oczy, ślepy kocie! — zawołał na mnie Choma wesolo.

Spojrzałem. Gęsta mgła ścielila się po polu, przed nami w oddali szarzało sioło, dym z kominów unosił się ponad niskimi, słomianymi strzechami.

— No i cóż, zjedli cię żandarmi? — pytał Choma z uśmiechem.



Nie odpowiedziałem ani słowa, trudno mi było ochłonąć po tem wszystkiem, co zaszło.

— Miły towarzyszu, a widzisz, że ja cię w prze-
paść nie pchnąłem — rzekł do mnie po cichu.

Spojrzałem teraz po raz pierwszy na Chomę. Cóż
to? Przedemną stał żebrak obdarty, skulony.

— W imię Ojca i Syna, co się z tobą stało?

— To samo, co i z tobą! — odpowiedział.

— To, co i ze mną? Jak to rozumiesz?

— Spojrzno tylko w wodę na swoją urodę! — od-
powiedział trzęsącym dziadowskim głosem. Opodał była
szeroka kałuża, schyliłem się nad wodę. Tfy, przepa-
dnij maro! gdybym nie wiedział, że ja jestem ja —
tobym się nie poznał w chwili onej. Dziad i dziad,
choć oczy wypatrz, a nie poznasz Semena. Poobwie-
szany torbami, z długą palicą w ręku, w pstrokatej
czapce na głowie; nie inaczej wyglądał i Choma. Dla-
tego to kazał mi się nie tracąc czasu, położyć spać
w dziadowskiej chacie. Aha, teraz rozumiem wszystko!

Tak więc, jak widzicie, uszliśmy tym razem biedy.
Lecz czyż myślicie może, że się już na tem skończyło?
Gdzie tam! Poszukiwania odbywały się dalej, chodzi-
liśmy tędy i owędy, krążąc ciągle w okolicy nad Dnie-
stem. Aż tu naraz słyszemy, jak mówią ludzie:

— Rychło się skończy wasza bieda, żandarmi już
coraz rzadsi w okolicy.

— Chwała ci panie. — myślimy sobie, tym razem
ujdzie nam na sucho. Teraz nic innego nie pozostaje,
jak dostać się w jakikolwiek sposób do domu. Radź
Chomo, prowadź Chomo! Choma prowadzi.

Wracaliśmy powoli manowcami — ostrożnie, żeby

nie wpaść niespodzianie w ręce żandarmów. Zbliżyli-
my się wreszcie do siola — jeszcze tylko pół milki,
nie więcej, a potem...

I toby się był spodziewał, że tutaj właśnie na
moście, jak to powiadają, spotkamy się z biedą, która
nas omijała w ciągu półrocznej prawie wędrówki.

A jednak tak się stało, a wszystkiemu złemu wi-
nien był nie kto inny, jak tylko Choma.

Drugi już dzień siedzieliśmy w oczeretach. Doszła
nas bowiem była wiadomość, że żandarmi przebywają
w naszym siole. Pod wieczór mówi do mnie Choma:

— Wiesz co Semenie, mnie boli noga, możebyś
przemknął się do wsi, dowiedział się od dobrych
ludzi, co slychać i przyniósł trocha strawy.

Przystąpiłem z chęcią. Ledwie żem wyszedł z sito-
wia, spojrzę, aż tu żandarmi chodzą po polu. Jakem
ich spostrzegł, odrętwiałem z przestrachu. Jezusie mój
— nuż mię dojrzą! Ech, jak nie podkasam poly, jak
nie puszcze się tam, skąd przyszedłem, unykam, ile
mi sił starczy, ale niestety było już zapóźno; dojrzały
mnie psiajuchy, puścili się za mną w pogoń. Pamię-
tam tylko, że było ich czterech. Którędy bieglem, nie
przypominam sobie; pamiętam tylko, że zmoczony, ob-
szarpany, skrwawiony upadłem koło Chomy, jak nie-
żywy. Choma pojął w okamgnieniu, co się stało.

— Wstawaj — krzyknął na mnie — skacz pod
most!

Opodał ciągnął się szeroki most przez rzekę. Pod
nim znajdowała się znana kryjówka. Dobywając ostat-
ka sił, powstałem.

— A cóż się z tobą stanie?

— Uciekaj, poradzę ja sobie!

Skoczyłem pod most, zostawiając Chomę w sitowiu. Do dziś dnia nie wiem, co też nowego wymyślił był Choma, ażeby ponownie wymknąć się żandarmom z pod nosa. Za chwilę, trzęsąc się na całym ciełe, siedziałem już pod mostem, ukryty bezpiecznie. Siedzę i siedzę: po chwili i strach już przeszedł, wyzieram, nadsluchuję, co się też z Chomą stanie. Nie nie słyhać, tylko rzeka szumi i uderza o filary mostu.

Siedziałem tak długo skulony, nieruchomy pod mostem pomiędzy dwoma dylami. Aż naraz słyszę jakiś gwar i halas. Wyzieram ostrożnie. Wielki Boże, wszak to mego przyjaciela, mego Chomę wiodą żandarmi. Na rękach i nogach brzęczą mu łańcuszki, żandarmi obstąpili go dokoła i poblyskują gwerami.

Pociemniało mi w oczach, dusza we mnie zamarała. Przyglądam się z natężeniem. Choma zmoczony, owalany po szyję błotem; na odzieży zmokłej pełno tataraku, zgnitych liści i zielonej trawy wodnej. Chciał się, jak widać, ukryć w bagnie, ale daremnie, znaleźli go, schwycili!

— Chwała ci Panie, że mnie przynajmniej udało się zemknąć, — pomyślałem sobie, skuliłem się we dwoje i siedzę cicho, ledwie dysząc.

No, i po tem wszystkim czyż mogłem się spodziewać, że Choma teraz zechce mi zaszkodzić?

Hej, hej, przyjaciel, przyjaciel! Posłuchajcie tylko, na jaką to chytrość zdobył się mój towarzysz, żeby wraz ze sobą i mnie zgubić i wydać w ręce żandarmów. Słucham ja, zdaleka rozlegają się kroki. Żandarmi weszli na most. Cicho. Nadsluchuje, zaparłszy dech

w piersiach. Ktoś śpiewa — niby zawodzi. Nadsluchuję uważniej, to głos Chomy. Idzie i przyspiewuje sobie przeciągle, niby żałośnie:

Oj Semenie, Semenie, towarzyszu drogi,
Pokłoużę się odemnie matuli niebogiej,
Pocieszę ją serdecznie szczeremi słowami,
Niechaj doli wojaka nie oblewa łzami.

— Dobrze, dobrze! — huknąłem z pod mostu, wzrzużony żalonym śpiewem Chomy.

Boże mój, jakżem się w tej chwili przeraził własnego głosu! Umierać będę a chwili tej nie zapomnę. Zaszumiało mi w uszach, świat mi pociemniał, krew buchnęła do głowy, nie wiem sam, co się ze mną stało.

Ocucilem się na moście. Dwaj żandarmi trzymali mię za ręce, jeden zamykał na żelazną kłódkę łańcuszek, którym związane były ręce. Ruszyłem nogą — skuta.

I wy możecie mówić o przyjaźni! Czy to po przyjacielsku postąpił ze mną Choma?

Spojrzałem na niego. Stał ponury, mokry, drżący od zimna. Raz tylko spojrzał na mnie, w oczach zakręciły mu się łzy jasne... Lecz cóż mi po tych łzach? Wszak one ani mnie, ani jemu już nie pomogą!

Na drugi dzień ostrzygli nam głowy. Zostaliśmy wojakami.

Och, przyjaźń, przyjaźń! towarzystwo! Dalo mi się ono gorzko we znaki, nie zapomnę ja o niem póki życia, bo przezeń przepadły młode moje lata.

Historya mojej sieczkarni.

Nie uwierzycie moi kochani, jak mi się już było sprzykrzyło rzezać sieczkę na tej prostej ręcznej skrzynce! Kiedy, bywało, nadchodzi zima, to człek więcej się boi tej głupiej sieczki, niż w lecie košby. Bo to skoro świt, idźże zaraz na tok; mróz aż trzaska, a ty uważaj na latarnię, żeby nie było jakiego nieszczęścia, co chwila poprawiaj rzezak, gniec i ciągnij, aż ci w stawach trzeszczy, zanim wymęczysz ten nędzny mieszek siekaninki. Ledwie, że dla koni na cały dzień starczyło, o bydłociu nie było i mow. Z czasem, kiedy mi chłopaki podrosły, nowa bieda. Narobi się to przez cały dzień boży, namęczy, gdzie mu tam wieczór stawać do skrzynki. Ległby i spał jeden z drugim, a nie rzezakiem machał; tak tedy, powiadam wam, biedowałem, że mi aż było obrzydło!

Aż naraz słyszę, gadają ludziska, że wyszły takie skrzynki, co to maszyną rzną sieczkę: drobnitko jak mak, a lekko i prędko. Troje ludzi taką skrzynką i pięćdziesiąt mieszków drobnej sieczki narznie! Zrazu i wierzyć nie chciałem. Ktoby tam — myślę sobie — pamiętał o biednym chłopie, że mu to ta sieczka tak gorzko daje się we znaki i dla niego aż ma-

szynę wyspekulował. Ba, ale pytam tego i owego — rznie, mówią, aż miło! Gadają ludzie, że widzieli tam i tam taką maszynę u księdza, co ją niedawno był kupił, to znowu u tego to a tego dziedzica, mówią, że patrzyli na własne oczy i nie mogą się dosyć nachwalić. A, pomyślałem sobie, kiedy tak, to Bogu dzięki! Żeby ci miał, nie daj Boże, ostatnią chudobinę sprzedać, a muszę się ściągnąć na taką maszynową skrzynkę! Ale gdzie jej tu dostać? W naszym siole nikogo ani zapytać o to. Jegomość z gromadą bokiem patrzą na siebie za to, że ich nie chce gromada wybrać na radnego, profesora mamy takiego, co i sam nie dużo wie o bożym świecie, a więcej u nikogo nie można się poradzić. Dowiaduję się tedy na jarmarkach, — a zawsze tylko u ludzi z obcych siól, tak, żeby w naszej wiosce nikt o niczem nie wiedział. Bo to u nas, widzicie, naród już taki cudacki, że byle co, zaraz cię, człeku, obśmieją. A tu jeszcze — myślę sobie — i sam nie widziałem co to za skrzynka, jaką ma cnotę? Nuż pokaże się, że licha warta, byłoby wtedy śmiechu między ludźmi, że i w dziesięciu wodach nie obmyłbyś się nieboraku. Z kogo, jak z kogo, ale ze mnie śmialiby się szczerze. Bo musicie wiedzieć, że już oddawna przewali mię w siole „drewnianym filozofem“, a to dlatego, że w wolnych chwilach lubię tam trochę majstrować. Dał mi ci jakoś Bóg lekką rękę do majsterstwa; co oczyma zobaczę, to rękami zrobię. Ot, naprzykład, zobaczyłem był u krupiarza w miasteczku korbowe żarna, co to niemi krupy miele; przyjrzałem się im dobrze, a potem jakim zaczął strugać w domu i spekulować, to i skleciłem

wreszcie żarna i patrzajcie, jak teraz miela! A co było śmiechu z tych żarn — Boże miłosierny! Nie można się było w siole pokazać, żeby cię zaraz nie pytali:

— A co kumie, korbowe żarna zdrowe?

Taki już, powiadam wam, dziwny naród; a tymczasem dzisiaj gromadą chodzą mleć na moich żarnach i nie mogą się dosyć nachwalić. Albo i z młynkiem tym, co to zboże przewiewa. Kleciłem go i dłubałem przez cały miesiąc. Sąsiedzi, bywało — było to w zimie — poschodzą się do chaty, gawędzą i przypatrują się, jak to ja te deszczułki składam, rozbieram, przymierzam, ucinam i przystruguję. — Zwyczajnie, człek w tem nie uczony, ale tak sobie, samouczek przez dobrą wskazówki, przez niczego — i śmieją się ze mnie, a niejeden to ci prosto w oczy powiada:

— Rzucilibyście to majstrowanie — pusta was się wzięła robota.

A ja nie gadam nic, tylko swoje robię i takim wam młynek sporządził, jak prawą rękę — a ci, co się ze mnie naśmiewali, teraz chodzą do mnie wiać zboże. Ale z tem wszystkim zawsze ja u nich „drenwniany filozof“.

Niewiele, co prawda, robię ja sobie z tego śmiechu, ale widzicie, człek nie drzewo: lada słowo niezwyczajne, lada śmiech, a dopiecze ci do żywego. I już mi, Bogiem a prawdą, ten śmiech kością w gardle stanął. Pomyślałem sobie zatem: nie, o skrzynce to już nikomu ani słówkiem nie pisnę, póki nie będę jej miał tu oto na toku i póki sam nie spróbuje, jaka w niej siła.

Ciągnęło się to jakoś parę miesięcy, póki nie uciułałem trochę grosiwa, a przez cały ten czas dowiaduję się u ludzi, ba, u żydów nawet, czy niema gdzie takiej skrzynki na sprzedaż. Aż tu razu jednego, jakoś pod jesień, słyszę ja od znajomego żyda, że gdzieś w Samborze jest jakaś żydówka, której mąż był niegdys rządcą w pańskich dobrach. On to wy dostał był skądś taką skrzynkę, niewiedzieć na co i po co. Teraz żyd umarł, a żydówka sprzedalaby skrzynkę za tanie pieniądze. Jakem to usłyszał, ucieszyłem się, jak nie wiem czem. Zaraz też w parę dni potem wzięłem wszystkie pieniądze, jakie miałem, kazałem zaprządz konie do wozu i dalejże do Sambora, ale sam. A tu tymczasem nikt, nawet moi chłopacy nie wiedzą, z jakim to ja interesem jadę do miasta.

Ledwie że przyjechałem, zaraz się też dopytałem do żydówki. Tak i tak, powiadam, kupiłbym skrzynkę, kiedy ją macie na sprzedaż.

— Och — mówi żydówka — jest, ale rozebrana, porozruczana na strychu.

— Już ja sobie ją ułożę — mówię, a sam aż trzęsę się w obawie, nuż nie potrafię; bo to jak żyję, nie widziałem jeszcze takiego instrumentu.

— Nu, to chodźcie ze mną!

Poszliśmy, wyleźli na strych, a tam tyle wszelkiego żelaziwa, drobiazgów — kram cały, krótko mówiąc.

Zaczęła się żydówka nurzać w tem rupieciu, wyciągnęła jakąś drewnianą podstawkę na czterech nogach, potem pudło żelazne z zębatym wałkiem, potem znowu jakieś koło z korbą, dalej rzezaki krzywe, i wszystko to złożyła na kupę przedemną.

Stałem ci nad tem jak głupi przed płotem. Ale co — myślę sobie — źle znowu pokpić się przed żydówką; trzeba bodaj miną nadrabiać, że człek coś rozumie.

— A gdzieś śruby? — zapytałem, ale tak na chybił trafił.

— Och, gdzieś się zatrzesły — rzekła żydówka i dalejże szukać po strychu. Aż mi się lepiej zrobiło. Jak się widzi, to i śruby potrzebne! Po chwili żydówka rzeczywiście podała mi kilka śrub i klucz.

— Nu, już wszystko! — powiedziała. — Wy, panie gospodarzu, musicie się na tem dobrze rozumieć; powiedźcie sami, co to warte?

— Nie wiele warte — rzeknę, udając mądrego. — Bardzo staroświecka; ciężko będzie chodzić.

— Nu, ja już za to tanio wam spuszczę — rzekła żydówka. — Dacie trzydzieści reńskich, to zabierzecie sobie.

— Chwała ci Panie — pomyślałem. Liczyłem, że trzeba będzie zapłacić co najmniej pięćdziesiąt, a ta mi ceni trzydzieści. No, a przecież i w targu coś spadnie. Mówię zatem do żydówki:

— Et, co tam gadacie trzydzieści reńskich! Toż dzisiaj nową za te pieniądze dostanę. Ot, dam wam piętnaście.

— Oh, bardzo mało dajecie, panie gospodarzu — stęknęła żydówka. — Dajcie dwadzieścia pięć.

Ledwie njeledwie stałem na dwudziestu. Nie składam skrzynki, ale aż cierpnę od strachu, bo nuż — myślę sobie — nie potrafię złożyć w domu, a taką

sumę człowiek zapłacił. Ale potem myślę; co będzie, to będzie, a na swoim postawić muszę.

Zebrałem to wszystko na wóz: drobne żelaziwo owinąłem płachtą, a podstawkę obłożyłem słomą, nakryłem deską; leży to rozczepierzone, akuratnie tak, jakby się człowiek rozwalił na wozie, zadarłszy w górę kolana. Uporałem się z tem i jadę. Chwała Bogu, że do wsi aż na noc przybędę; — nie będzie mię nikt widział. Jadę ja, jadę, mijam siolo za siolem, a ciągle strach mię zbiera, czy lada chwila nie spotka mię jaki znajomy i nie zapyta, co wiozę. Dziś to i wydziwić się nie mogę, co się to wówczas było ze mną stało, że mię taka bojaźń ogarnęła, jak gdybym wioził nie swoje, ale kradzione. Tak się to u nas dzieje: zahukają czleka, wysmieją za to, czego sami nie rozumieją, tak, że potem człowiek i radby coś zrobić, i cofa się, i boi się ludzi, jakby tam nie wiem jakie miał złe zamiary. Ale podjeżdżam już do naszego siola. Zmierchło się, przeczekałem jeszcze parę chwil przed karczmą za wsią, wyglądając, rychło się ściemni na dobre, a wtedy dalej przez wieś. Ale ba, na moje nieszczęście, ledwie ja do wsi, aż tu buch! — miesiąc schodzi sobie pełny, pызaty, jakby nic nie było. Jak mię widzicie żywego, nie jestem z tych ludzi, co to zaraz o co bądź indyczą się i srożą, ale ten miesiąc pod tę właśnie porę mało mię do złości nie przyprowadził; niewiele brakowało, a byłbym mu przeklął rodzonego ojca i matkę. Bo kto go się tam mógł spodziewać! A tu tymczasem, powiadam wam, zrobiło się we wsi jak w biały dzionek; na moim wozie widno zdaleka sterczące nogi nakryte płachtą, a ilekroć wóz o ka-

mień stuknie, tyle razy zakolysze się cały ten kram na wszystkie strony. W dodatku, jakby na złość, psy w naszej wsi—co chata, to pies—zasłyszawszy, że ktoś jedzie, gromadą wybiegły na drogę; ujadają bestye, aż ziemię gryzą z wściekłości, przeprowadzają mię z muzyką! Ale Bogu dzięki, na ulicy nie widać żywej duszy, nikt nie zapyta, co wiozę.

Lecz cóż, kiedy już licho zawezmie się na ciebie, to i koniem go nie ominiesz. Przejeżdżam jak raz mimo kościoła, spojrzę, stoi ktoś wśród drogi i patrzy. Tfu, przepadnij maro! — pomyślałem sobie; przebrzydłe psiska zbudziły wartownika — zaraz pochocnie rozpytywać. I zgadłem. Ledwieśmy się zrównali, a on do mnie:

— Czy to, wy nanaszku?*)

Poznałem zaraz po głosie, że to głupi Wojtek, mego sąsiada synal. No, nie mieli kogo postawić na warcie i postawili głuptasia.

— A dyć-że ja — rzekne.

— A skądto jedziecie tak późno, żeście wszystkie psy pobudzili?

— Wielka szkoda — mówię — bo psy i ciebie biednego, jak widzę, zbudziły.

— Ba, toż pewnie! A mnie akuratnie śnić się zaczęło, że złodzieje kościół okradają; zerwę się tedy, aż to wy! I skądże jedziecie?

Co tu z głuptalem gadać? Alboż on będzie wiedział, jak i co? — Z Grajgóry — mówię mu.

— A co to takiego wieziecie?

*) Nanaszko — chrzestny ojciec.

— E, nie pytaj — mówię niby przelegniony, a tu już zły jestem, że Wojtek stoi jak słup i pyta jak najęty.

— Powiedźcie, nanaszku, powiedźcie, ja dalibóg nikomu nie pisnę słówkiem.

— A nie powiesz?

— Niech mię Bóg skarże, jeśli gębę otworzę.

— No — mówię szeptem, obzierając się w około — zabiłem żyda z pieniędzmi, a teraz wiozę do chaty, i zakopię pod węglem.

— Jej! — krzyknie przestraszony Wojtek — a toż na co?

— Na szczęście, głupi Wojtku, żeby w chacie nie brakło nigdy grosza.

To powiedziawszy, ruszyłem dalej, a tu już miarkuję, że mój Wojtek aż trzęsie się z ciekawości. No — myślę sobie — zakpiłem ci z niego! Ale spojrzę z tyłu, a Wojtek śmiga chyłkiem pod płoty tuż tuż za mną. Biegnie, to niechaj sobie biegnie. A tu już i do chaty mi niedaleko — zajechałem, otworzyłem wrota od wygonu, potem otwarłem stodołę, zajechałem na tok, wyprzągłem szkapiska, a wóz zostawiam na toku. Obejrzałem się, a mój Wojtek przykucnął pod wrotami i wytrzeszczył ślepie, ciekawy, co dalej pocznę. Udaję, że go nie widzę. Zawiodłem konie do stajni, upiąłem, narzuciłem paszy, a sam poszedłem do chaty.

Powieczerałem i ległem spać, jakby nic nie było. Nazajutrz skoro świt, ja do stodoły, zabieram się do skrzynki. Wziąłem chłopaka do pomocy. Przykładamy we dwóch, co do czego pasuje, próbujemy, ot i Bogu dzięki, wszystko nam poszło jak po maśle. Nie minęło

i pół godziny, kiedyśmy skrzynkę, jak wypada, złożyli, wypróbowali: rżnie, aż się dusza raduje! Jakgdybym się na świat na nowo narodził! Chyba nie darmo wyrzuciłem pieniądze! A chłopak aż w ręce klaszcze i skacze koło maszyny, nie może się dosyć nacieszyć. Narzegliśmy, jak z bicza trzasnął, spory snop słomy, wóz zatoczyli na podwórko, a sami do chaty. Dobra nasza!

Ledwieśmy zasiedli, żeby pośniadać, aż tu burek zaszczekał. Wyzieram przez okno — fiu, fiu, fiu! I wójt, i przysiężny, i pisarz, i z pięć chłopca z palicami, jak to mówią: „dziad, baba i cała gromada“. I to, powiadam wam, nie wchodzi do chaty, ale stanąwszy przy jednym z węglów domu, grzebią, szturchają, oglądają... Jakie tam cudo — myślę sobie — co się tym ludziom stało? Chcę wyjść z izby, zapytać, ale ba, z poza drzwi słyszę głos dziesiątnika: „Nie wolno! Siedzcie w chacie!“ Kie lichu? Wróciłem do izby. Obeszli tak chatę na wszystkie cztery rogi, ochlapali się po kolana, poszli dalej pod szopę, dokoła spichrza, dokoła stodoły, w kółko, w kółko... Ja tu tymczasem w głowę zachodzę: co za odmiana? Czy pogłupieli ludziska, czy może napad jaki? Ale otóż i oni, wchodzi do chaty.

— Dziesiątnicy! — mówi wójt, nie przywitawszy się nawet, nie kiwnąwszy głową — stańcie koło niego! Jakby uciekł, wy za niego odpowiadać będziecie!

Zgłupiałem, wytrzeszczyłem oczy, a tu dziesiątnicy, jak apostołowie jacy, asystują koło mnie.

— Panie wójt — rzeknę — co to wszystko ma znaczyć?

— Hm, hm — chrząknął znowu wójt — a powiedzcie no nam nasamprzód, jak się to nazywacie?

— Ja? Chyba nie wiecie? Czy to ja jaki cudzy człowiek, czy co?

— Zaraz mi tu odpowiadać? Kto tu we wsi starszy, ja, czy wy?

— Ja tu w swojej chacie najstarszy! — krzyknąłem rozniewany. — Cóż to, rozbój chyba? Nikomum nie złego nie zrobił, a tu ni z tego, ni z owego natchodzą mię w własnej chacie! Panie wójt, ja na was skargę podam.

— Cha, cha, cha! — śmiał się wójt — a patrzajcie go, jak się stawia! Niewiniątko! No, no, daj Boże! Zaraz zobaczymy. A powiedzno mi, niewinny człowieku, gdzieś to tego zabitego żyda podział, coś go to wczoraj wiozł nocą?

Teraz dopiero stanęło mi jasno. Jak nie buchnę śmiechem serdecznym, to powiadam wam, gałgan moje imię, jeśli bym się kiedy tak śmiał od urodzenia. Ledwie się nie położył od śmiechu.

Wójt stanął jak cieł przed bramą malowaną.

Ale rychło opamiętał się i znowu do mnie:

— Kumie, ja ci jak dobry mówię, nie śmieć się, przyznaj się do wszystkiego, a już ja się tam wstawię za tobą przed wysokim sądem, żeby cię nie powiesili, żeby ci życie darowali. Nie zapieraj się, kiedy nie chcesz dyndać na szubienicy.

Na te słowa wójta ja znowu w śmiech, aż się rękami za brzuch biorę. Wójt aż się pienił ze złości.

— Związać go — krzyknął na dziesiątników.

— Ależ panie wójt! — rzeknę opamiętawszy

się — poczekajcie jeno, ja się wam przyznam do wszystkiego, nawet i łaski waszej prosić nie będę w sądzie. Kiedy już wisieć, to chyba lepiej za obie nogi.

— Przyznajesz się?

— To się rozumie.

— No, a gdzież ten zabity żyd? Jeszcześ go nie zakopał pod węglem?

— Ale nie, nie!

— Więc gdzież jest?

— Leży jak byk w stodole.

— Chodźże i pokaż nam.

Wziąłem klucz, idziemy. Spojrzę, aż pod stodołą warta. No, chwała Bogu. I Wojtek tutaj, tem lepiej. A narodu na oborze, jak na odpuszcie.

Gruchnęło po wsi, że „drewniany filozof“ zabił żyda, żeby go zakopać pod węglem. Idę jak z procesyą i uśmiecham się, a tu wszyscy: szu, szu, szu! jakby chcieli mówić: patrzajcie go, wieszając go będą, a on sobie pokpiwa z całego świata! Taki to już „drewniany filozof“.

Podchodzę do bramy, a dziesiątnicy ciągle koło mnie. — Otworzyłem...

— No, proszę, panie wójcie, ot tutaj żyd zabity!

Wójt spojrział i oczy wywalil.

— A — a — a! cóż to?

— To samo, com wczoraj wiózł nocą. Skrzynka do rzezania sieczki!

Na to wszyscy jak nie zaczęną się śmiać, to pewnie gdzieś aż w niebie słyhać było. I dziesiątnicy, i przy siężny, i polowy, wszyscy, mówię wam, pękają od śmie-

chu. Nawet wójt nie mógł się wstrzymać i zaczął mię przepraszać za całą okazyę i za to, że dał wiarę głupiemu Wojtkowi. Pełno było śmiechu w całym siole. A skrzynkę moją tego dnia jeszcze jak zaczęli próbować, to urnęli mi z pięć sporych okłotów słomy. Ot, w taki to sposób i do skrzynki przyszedłem i zakpiłem sobie z całej gromady!

HAWA.

Obrazek z natury.

I.

Ojciec chciał mu zostawić wieś, i przy swych zdolnościach pewnie byłby tego dopiął, gdyby był tak bardzo nie kochał swego potomstwa. Lecz, że je kochał namiętnie, więc nie umiał utrzymać należytej miary w zdobyczach, kąsał więcej, niż mógł połknąć. No, i udławił się, pozostawiwszy Hawę bez centa.

Umierając, tę mu jedynie dał naukę:

— Hawo, cokolwiek ci się trafi w życiu dobrego, choćby najmniejsze, zawsze mów: Bogu dzięki, i to dobre na początek!

Hawa miał lat dwanaście, gdy go ojciec odumarał. Wyrósł na wsi, igrając z wiejskimi dziećmi, całym dniami włócząc się po chłopskich chatach lub łowiąc rękami raki w potoku. Już w dziecięcym wieku okazywał niezwykłą ciekawość, spryt i chytryść, i wiedział o życiu chłopskiem daleko więcej i dokładniej, niż dziesięcioro chłopskich dzieci w jego wieku.

Po śmierci ojca zaopiekowała się nim jakaś daleka krewna — ciotka, czy stryjenka, mieszkająca w Dro-

hobyczu. Była to stara już żydowica, prosta przepkupa, utrzymująca ze swego mizernego zarobku pięcioro własnych dzieci; troje już było dorosłe i na własnym chlebie, robiły na siebie i ani myślały dopomagać matce.

Opiekunka oddała Hawę do terminu do szewca, lecz Hawie nie podobano się to rzemiosło. Gdy bowiem zaraz drugiego dnia jeden z czeladników, posyłając go do szynku po wódkę, zamiast pieniędzy dał mu w kark na drogę, Hawa, zmieszany taką dziwną logiką, głośno wykrzyknął, wspomniawszy ostatnią wolę ojca:

— Bogu dzięki, i to dobre na początek!

Koncept ten tak się podobał wszystkim czeladnikom, pracującym w warsztacie, że od tego dnia co chwili którykolwiek robił Hawie początek, to pięścią, to pocięgiem, to szydłem, to kopytem, tak, że biedny chłopiec po tygodniu takiej męczarni doprowadzony do rozpaczki i omal że nie do szaleństwa, uciekł od majstra i ze łzami błagał swą opiekunkę, by go nie dawała do rzemiosła.

— Ja sobie i tak zarobię na chleb! — zapewniał z dumą.

— Jakże ty zarobisz, nie umiając żadnego rzemiosła, głupcze? — pytała ciotka.

— Cóż to ja goj — zawołał Hawa — żebym bez rzemiosła żyć nie potrafił?

Argument był trafny i przekonywający i opiekunka pozostawiła Hawie zupełną swobodę działania, z góry jednak zapowiedziawszy mu, że dłużej, nad tydzień, za darmo karmić go nie może. Dość, że mu da zadarmo spać w swej chałupie.

— Tydzień zadarmo! — z radością zawołał Hawa. Więc co ja za ten tydzień zarobię, to będzie moje! Bogu dzięki, i to dobre na początek.

II.

Hawa przypomniał sobie swe wiejskie życie na ulicy, w potoku, w lesie, z chłopakami wiejskimi, to życie swobodne, pełne zabaw, świeżego powietrza i ruchu. Lecz teraz było mu nie do zabaw. Chciał w tych wspomnieniach znaleźć coś, coby obecnie mógł wykorzystać. I znalazł. Przechodząc co rana koło rynku, widział zawsze babę siedzącą przy wielkim koszu, pełnym żywych raków i sprzedającą je na kopy. Przypomniał sobie, że jest artystą w łapaniu tych wodnych stworzeń i natychmiast zaczął rozpytywać żydów o cenę i miejsce zbytu raków. Dowiedziawszy się, czego mu było potrzeba, wziął worek i kawał chleba i puścił się rano za miasto, poszukując miejsca, gdzieby było dużo raków. Lecz w rzece przepływającej koło Drohobycza, było ich mało: ginęły od naftowego fuzlu, który, wylewany z fabryk do wody, zatrutował ją, osadzał się na dnie i po brzegach. Szedł więc w górę wodą, dopóki nie trafił na potok, płynący od wioski Deryżyc, koło dębowego lasu Teptiuża.

Potok był ubogi w wodę, lecz, że płynął powolnie, więc dużo miał zakrętów, miejsce głębokich i cichych; brzegi jego prawie nieprzerwanie porośnięte były łożyną i olszyną, zwieszającą się nad samą wodą i płuczącą w niej swe korzenie. Hawa aż w ręce klasnął z radości. Toć to miejsce właśnie jak stworzone dla ra-

ków. I rzeczywiście, dość mu było rzucić swem wprawnym okiem na dno potoka, by się przekonać, że raków w nim jest moc nieprzebrana. Chłopi nasi raków nie jedzą, więc oczywiście nikt ich tutaj nie łowił. Hawa omal że się nie rzucił na ziemię i nie ucałował brzegów błogosławionych, które uważał już za swoją domenę. Rozebrawszy się do koszuli i schowawszy odzież w krzaki, wszedł w wodę, przerzuciwszy worek przez plecy i spokojnie, systematycznie, z cicha tylko stękając, zaczął wsuwać rękę do jednej za drugą jamy, prawie z każdej wydobywając ogromnego raka, który napróżno rozwierał swe kleszcze, kiwał długimi wąsami i wysuwał swe na długich trzonkach umieszczone oczy, jak gdyby dziwił się, co to za nowy porządek nastal w potoku, gdzie od niepamiętnych czasów nikt raków nie zaczepiał. Nie minęła godzina, gdy Hawa miał już kopę. W ciągu drugiej godziny worek był pełny i ciężki, tak, że sznurek wgrzyzał mu się w ramię. Hawa czuł głód i znużenie: zessała go woda, zziął i poczuł wstępną do dalszego łowienia raków.

— E, na dziś dosyć! rzekł sam do siebie i wrócił ku swej odzieży, ciągnąc worek z rakami za sobą po wodzie. — Bogu dzięki, na początek to wcale nie źle! Licząc kopę tylko po dziesięć centów, będę miał za dzisiejszy dzień więcej, niż dwadzieścia centów, a to mi może wystarczyć na cały tydzień na życie! E, dobra nasza! — zawołał Hawa i zaczął podskakiwać na jednej nodze nad potokiem — nie wiem czy z radości, czy żeby się ogrzać po długiej kąpeli. Następnie wytłamał kij sękaty, umocował worek z rakami na jego końcu i wzięwszy kij na plecy, poszedł do Drohoby-

cza, dojadając po drodze kawałek suchego chleba, co mu dała ciotka na cały dzień dzisiejszy.

Do miasta było wcale nie blisko — co najmniej pół mili, a na drobne, zmęczone nogi Hawy była to droga bardzo nawet daleka. Późnym dopiero wieczorem przywłókł się do nędznego mieszkania swej opiekunki. Lękał się z początku, by mu raki w worku bez wody nie poginęły, lecz słysząc ich ciche szeptanie podczas całej drogi, był dobrej myśli. Mimo to, gdy przyszedł do domu i wysypał swych więźniów do szaflika z wodą, ku niemałej swej zgryzocie spostrzegł, że prawie pół kopy było nieżywych. Omało nie zapłakał, tak mu ich żal było i całą noc przemyślał, jakby się na przyszłość zabezpieczyć od strat podobnych. Nie mogąc sam niczego wymyśleć, postanowił nazajutrz zapytać się tej kobiety, której miał raki dostarczać na sprzedaż, i z tem postanowieniem usnął.

III.

Raki przyszły Hawie z pomocą, lecz nie na długo. Chłopi, których łąki przylegały do owego potoka, spotykając go co dnia w wodzie, z początku nie mu nie mówili, lecz zauważywszy, że to żydek, a żydzi raków nie jedzą, domyślili się, że łowi je na sprzedaż i zakazali mu łowić. Kilka razy próbował chodzić ukradkiem, lecz gdy go raz złapali, obili, raki odebrali i jeszcze chcieli obedrzeć — przekonał się, że zarobek jego skończony. Zresztą i konkurencya powstała. Chłopi, widząc, że można te wzgardzone przez nich istoty spieniężać, wyprawiali co dnia do potoka całe

hurmy swych dzieci na raki, tak, że wkrótce pozostał tylko drobiazg, na sprzedaż wcale niezdatny. Gorzko płakał Hawa z powodu tego pierwszego rozczarowania, przeklinał chłopów, przejmował się ku nim nienawiścią, lecz przeciw sile nie mógł nic poradzić. Innego podobnego potoka nie było w pobliżu. Pozostawało tylko jedno wyjście — szukać jakiego innego zarobku.

— Czego się tak wałasasz, Hawo? — rzekł do niego pewnego razu stary Fawel.

— Ny, co mam robić? odparł.

— Niemasz co robić? — zapytał Fawel. — To źle, jeżeli nie masz co robić. Żyd zawsze powinien mieć co robić.

Hawa opowiedział mu o swem nieszczęściu z rakami.

— Głupiś, Hawo — rzekł Fawel — to nie żydowska rzecz trefne raki łapać.

— Ale pieniądze za nie nietrefne — odrzekł Hawa. — Żyłem dwa miesiące i jeszcze mam dwa reńskie złożone.

— Masz dwa reńskie złożone! — zawołał Fawel.

— E, to ty bogacz! Wiesz co — dodał po chwili — chodź ze mną po wsiach na zarobek.

— Na jaki zarobek?

— Czyż nie wiesz, jaki mój zarobek? „Szczetyny, kożuszyny, wolosyny!“ Ja wezmę pół wsi i ty pół wsi; ja będę kupował dla siebie, ty dla siebie.

— No, a jak nakupimy, to co?

— To już ja ci pokażę, co z tem zrobić i jak to sprzedać.

— E, a może to kiepski handel?

— Nie bój się durniu! Stary Fawel ci zlej rady nie da, ani korzystać z ciebie nie potrzebuje. Widzę, żeś sprytny chłopak, więc wolisz coś zarobić, niż masz tu daremnie w mieście bruki zbijać. Chodź, chodź!

— Ny, a dużo tak można w tygodniu zarobić?

— Jak się trafi, Hawo. Można zarobić reńskiego, a można i dziesięć, nie licząc strawy.

Oczy Hawy zablęsnęły dzikim ogniem na wzmiankę o dziesięciu reńskich tygodniowego zarobku. Co za ogromny pieniąż! Wahanie się jego znikło odrazu.

— Dobrze — zawołał — pójdę z wami! Kiedy idziemy?

— Jutro.

— Dobrze, pójdę jutro. Tylko wiecie co, reb Fawel, musimy wrócić w niedzielę.

— Zwykle w piątek wracam, a nie raz i dwa razy w tygodniu.

— A w poniedziałek musimy pozostawać w mieście.

— A to dlaczego?

— Bo ja tu mam zamysłany w poniedziałek inny zarobek.

— Czy ta-a-k? — rzekł przeciągle Fawel i rzucił na Hawę długie spojrzenie, pełne podziwu nad energią takiego małego chłopca.

IV.

Przez cały tydzień chodził Hawa z Fawlem po wsiach, wykrzykując po pod oknami chat: „Czetyny, kożuszyny, wołosyny!“ Bronił się od psów wiejskich grubym kosturem, targował się z chłopami, jak stary,

i z zawiścią spoglądał na chłopskie dzieci, swobodnie igrające na podwórzach lub na pastwiskach. Lecz że to była pora robocza, więc handel szedł słabo i ze skąpą zdobyczą wrócili obaj w piątek wieczorem do Drohobycza. Sierć wieprzową zaniósł Hawa do szczotkarsza i spieniężył ją dość dobrze; resztę zakupił od niego sam Fawel, ale zarobek tygodniowy nie dał nawet guldena. Hawa się skrzywił.

— Nie bój się, głupi — rzekł Fawel. — Czego-żeś ty chciał? Teraz lato, robota w polu, a nasz interes dopiero w zimie dobry. W zimie czasem kupisz i skórkę z zająca, z borsuka lub nawet z kuny, w zimie goje wieprze biją, to wtenczas dla nas żniwo.

Ale Hawa nie słuchał już. To były dalekie widoki, a dla niego to nie wystarczało. Zaraz na drugi dzień, chociaż to był szabas, pobiegł do fabryki zapalek, którą świeżo założono w Drohobyczu, i kupił hurtem za całego guldena zapalek i osobno paczek zapalkowych. Natychmiast też, nie zważając na dzień święty i na niezadowolenie swej opiekunki, zaczął nakładać zapalki do paczek. Pracował zwolna, z wyrachowaniem, i do wieczora niedzieli miał napelnionych 150 paczek, każda po cencie.

Nastąpił poniedziałek, dzień targowy w Drohobyczu. Hawa, nabrawszy zapalek, rzucił się na targowicę, na rynek, na place pomiędzy wozy, wykrzykując co sił:

— Śyriki świeże, śyriki!

Był to pomysł nowy, więc wkrótce obstały go baby i chłopcy. Chociaż niedaleko, na podsieniu było mnóstwo kramów ze siarnikami i wszelkimi drobiazgami

gospodarskimi, mimo to kupowano u niego chętnie. Nie jeden nie chciał odejść od woza, by mu czego nie skradziono, inny kupował dlatego, że na podsieniu wielki ścisk, a tu można wygodnie wybrać, a inny poprostu dlatego, że drudzy kupują. Do wieczora Hawa rozsprzedał cały swój kram i zarobił 50 ct. na guldenie.

— Ny, Bogu dzięki — rzekł — jak na początek, to wcale dobrze!

Odtąd dwojake prowadził życie: przez cały tydzień chodził z Fawlem po wsiach za szczecina i włosieniem, a w poniedziałek uwijał się po targach ze siarnikami. Z czasem rozszerzał się zakres tego handlu.

— A nie masz ty batogów, żydku? — zapytał pewnego razu chłop, któremu Hawa zaofiarował swe zapalki.

— Batogów? — powtórzył Hawa. — Na co batogów?

On myślał, że chłop kpi sobie z niego.

— Jak to na co? Na sprzedaż. Kupiłbym, a nie chce mi się iść na podsienie.

— A skąd ja mam mieć batogi?

— Jak to skąd? Żyd powinien mieć wszystko.

Słowa te utkwiły Hawie głęboko w pamięci.

— Wiecie co, nanaszku — rzekł po krótkim namyśle — zaczekajcie chwileczkę, zaraz wam będą batogi.

I pobiegł wnet na podsienie i kupił pół tuzina batogów sznurkowych i rzemiennych, na wybór. Sprzedał je tego dnia bez zysku, bo drożej nie mógł brać, niż brali na podsieniu, a tam mu też taniej sprzedać nie chcieli. Ale w głowie jego już dojrzewała myśl jak dotrzeć

do źródła, z którego biorą batogi przekupnie na podsieniu, i tam powtórzyć tę samą manipulację, jaka mu się tak świetnie udawała ze siarnikami.

V.

Minęła zima, minął i rok cały przy takiej robocie. Hawa nie żałował nóg, rąk i gardła, ale też i zarabiał tak, że mu nie jeden starszy żyd zazdrościł. Zarobek ten jednak już mu nie wystarczał, a najgorzej złościła go konkurencja, która się wlokła tuż za jego piętami. Już teraz mnóstwo małych żydków co poniedziałek kręciło się po mieście ze siarnikami, z batogami, z mazią do wozów i z innym drobiazgiem; zarobek był mniejszy, a za to więcej szachrajstwa, co zniechęcało kupujących. Hawa musiał szukać nowych źródeł dochodu.

Od dawna już zwracał na siebie uwagę jego człowieczek w staroświeckim stroju mieszczanin, jaki noszą jeszcze po małych, odludnych miasteczkach. Co tygodnia przybywał na targ z czepecami zielonymi i białymi, bardzo pięknej domowej roboty. Miał laskę z dzwonkiem na górnym końcu, ubrany we wstążki kolorowe, a niżej na drewnianych kołeczkach ponawiesza bywało tych czepeców i idzie trotuarem dookoła rynku, trzymając laskę, wzniesioną wysoko po nad ciżbę głów ludzkich, potrząsając nią od czasu do czasu, lecz nikomu nie mówiąc ani słowa. Kupowano od niego, ale rzadko. Mieszczanin był rzeczywiście melancholicznego usposobienia, niechętny do rozmowy, nie

lubił się targować. Pierwsze jego słowo było zarzem ostatnią ceną.

— A co, matulu — zapytał raz Hawa jedną kobietę, która właśnie kupiła czepec u tego człowieka, wcale się nie targawawszy — dobre czepece ten człowiek sprzedaje?

— Kto? Staromiejski? O, nie ma nad jego czepece! Jeden na dziesięć lat wystarczy, albo i na dłużej. Ja to dla synowej kupiłam. Nie pierwszy raz u niego biorę i cena u niego zawsze jednakowa.

— A dlaczegoż tak mało u niego kupują?

— Albo ja wiem? Bo nie żyd. Do żydów wszyscy idą i biorą ostatnie drancie i jeszcze natargować się muszą do siódmego potu, zanim za taką samą cenę dostaną.

Hawa prędko się zdecydował i przystąpił do mieszczanina.

— Szczęść wam Boże, panie Staromiejski! — rzekł z ukłonem.

Mieszczanin spojrział zdziwionemi oczyma z pod siwych, krzaczystych brwi na nędznego, obszarpanego żydka, co się z nim witał, jak ze starym znajomym.

— Tfu na twego ojca klapciastego! — rzekł, spluwając — a ty mnie skąd znasz?

— Ny, panie Staromiejski, ktoby was nie znał? Was, Bogu dzięki, wszyscy znają. A po czemu czepecki sprzedajecie?

— Po 20 centów, albo co?

— Bo chciałbym u was kupić.

— Ahu, a tobie po co? Czy dla twej matki łysej?

— Dla matki lub nie dla matki, a wam co do tego? He ich tu macie?

— Jeszcze osiem, albo co?

— Ny, jacyż to wy? Osiem po 20 centów, to szesnaście szóstaków. A co spuścicie, jeżeli wszystkie wezmę!

— Tfu na twą głowę! A na co ci wszystkich?

— Co spuścicie, jeżeli wszystkie wezmę? — uśmiechając się powtarzał Hawa.

— Ta odczep się odemnie! — krzyknął Staromiejski. — Ja nie twój dureń, żebyś ty sobie ze mnie kpiny robił.

— Ny, ny, chcecie dwanaście szóstaków? Nie? Ot wam trzynaście! Za wszystkie naraz, gotowymi pieniędzmi. Czego wam potrzeba? Macie włóczyć się z nimi jeszcze trzy poniedziałki, to czy nie lepiej wam od razu wziąć gotowe pieniądze?

Mieszczanin pomyślał i sam sobie nie wierzył. Taki targ jeszcze mu się nigdy nie trafiał. Była u niego rodzina, dwaj synowie i trzy córki robiły na gospodarstwie, a on ze starą żoną plół te czepece staroświeckim sposobem i włóczył się z nimi po jarmarkach, zarabiając, po strąceniu kosztów, najwięcej po reńskiemu, a nieraz zaledwie po jakich 20 do 30 krajcarów na jednym targu. Bardzo rzadko trafiało się, żeby rozsprzedał wszystek towar, wyniesiony na targ. A tu naraz jakiś mizerny żydek wszystko kupuje.

— Dawaj czternaście! — rzekł.

— Ny, daj Boże dobry początek! — rzekł Hawa i odliczył pieniądze. — Ale dawajcie wszystko z łaską.

— A laski ci po co?

— Na szczęście.

— Tfu na twą głowę! Bierz i laskę, tylko za dzwonek mi 10 centów wróć.

— Wiecie co — rzekł Hawa — zaczekajcie wy tutaj w szynku, ja wam laskę natychmiast przyniosę, ja tylko tak, w pożyczkę ją biorę.

— No, dobrze — mruknął Staromiejski, idąc do szynku, by wypić szklankę piwa po takim dobrym targu.

— Oszachrował mnie żyd przeklęty! — mruczał sam do siebie, siedząc za stołem. — I czepece za psi grosz kupił, i laska wraz ze dzwonkiem przepadnie.

Ale mruczał to bez wewnętrznego przekonania, ale tylko, żeby mruzczyć, gdyż w rzeczy samej rad był z targu, a za laską nie było co żałować — była prosta laskowa, i dzwonek nieszczególny, małeńki.

Hawa tymczasem, dostawszy czepece z laską w swoje ręce, pobiegł pomiędzy wozy, po targowiskach i pod-sieniach i takiego wrzasku narobił, wychwalając swój towar, że naród runął za nim, jak gdyby niedźwiedzia po mieście oprowadzano. Nie przeszło i pół godziny, a już Hawa rozsprzedał swe czepece nie po 20, ale po 25 centów.

— Dobre zdrowie wam, panie Staromiejski! — krzyknął Hawa, wpadając do szynku. — Macie waszą laskę.

— A czepece gdzie? — zapytał Staromiejski.

— Jakto gdzie? Zniosłem do domu. Wiecie co, może wypijecie jeszcze szklankę piwa?

— Ta wypićby się to wypilo, ale pieniędzy niema. Trzeba nici na nowe czepece kupować.

— Ny, wypijcie za moje. A ja wam za ten czas będę coś mówić.

— Tfu na twego ojca waryata! Czy omana jakaś uczepiła się mnie dzisiaj z tym żydziakiem? — mruknął Staromiejski, uśmiechając się, lecz tym razem daleko już dobroduszniej, niż przedtem, podczas gdy Hawa zamawiał piwo. — No, cóż tam takiego masz mi powiedzieć? Mów.

— Chciałem się was zapytać, czy dużo wy takich czepców na tydzień możecie zrobić?

— Jak do potrzeby. Zwykle robimy dziesięć. Ale jeżeliby tylko nitki, tobyśmy mogli i czterdzieście i pięćdziesiąt zrobić. Mógłbym wszystkie trzy córki do tej roboty zasadzić. Bieda tylko, że mało sprzedajemy, to po jakiego dyabła ich robić tak dużo?

— Wiecie co, zróbcie wy dla mnie na drugi poniedziałek pięćdziesiąt. Ja od was wszystkie kupię. Po piętnaście centów za każdy.

— E-he-he, taniobys chciał!

— Ny, ależ ja biorę wszystkie naraz, to także coś znaczy. Nie potrzebujecie się po jarmarkach włóczyć. Nie was to nie obchodzi, czy będzie dobry targ, czy nie, wy macie swoje. A ja jeszcze czy sprzedam, czy nie sprzedam, to tylko Bóg wie.

— No, jużbyś to ty ta nie sprzedał. Twój przodek Judasz Skaryocki i Chrystusa sprzedał, a tybys czepeca nie sprzedał. Nie, serdeńko, daj po osmnaście czepecie za czepecie, to zgoda.

— Ależ zlitujcie się, panie Staromiejski! — błagał Hawa — sami widzicie, ja biedny żydek, sam nieraz nie mam co jeść, a wam zarobek daję. Ny, niech

będzie po szesnaście. Jeżeli chcecie, to i zadatek wam dam, żebyście mieli za co nitkę nakupić. A wiecie co, róbcie przez pół — połowę czepców białych, a połowę zielonych, bo w niektórych wsiach noszą białe, a zielonych nie kupują.

— Kiedyż-bo zielona nitka mocniejsza! — rzekł prostodusznie Staromiejski.

— Oto stary dureń! — pomyślał sobie Hawa. — Ja gdybym wiedział, że te mocniejsze, a te słabsze, to-bym mocniejszych ani nie robił, ani nie sprzedawał, bo to przecież dla mnie samego strata. Czyż to ta baba nie mówiła, że jeden czepiec dziesięć lat nosi? A więc przez dziesięć lat drugiego nie kupi. Tfu na taką głupią głowę!

I dodał głośno:

— Wy już o to nie dbajcie, które mocniejsze, a które słabsze, a róbcie tak, jak ja was proszę. Ja wiem, że wasza robota dobra, zobaczę, jak też pójdzie rozsprzedaż. A jeżeli pójdzie dobrze, to my z wami zrobimy taką zgodę, że wy będziecie sobie pomaleńku robić i pieniądze zbierać, a ja będę rozsprzedawać. Dla was nie będzie kłopotu, a może też i mnie co kapnie.

— Czy jeszczeby takiemu spekulantowi nie kapnęło! — rzekł Staromiejski, klepiąc Hawę po ramieniu. — Ciebie pewnie matka w same kuczki urodziła i do tego w dżdżyste, i pod okapem położyła, to już tam na ciebie dobrzê nakapało, nie bój się!

Uderzyli po rękach, i Hawa natychmiast dał Staromiejskiemu w zadatku tego samego guldena, którego dopiero zarobił na jego czepcach. A na drugi tydzień,

otrzymałszy całe pół setki czepców, nie już nie sprzedał w mieście, ale wyruszył z nimi po wsiach, sprzedając, mieniając swój towar, a z każdej chaty wychodząc z zyskiem.

VI.

— No, dzieci! — rzekł Staromiejski wchodząc do swej ubogiej chaty — ciescie się, dał nam Bóg szczęście!

— Bogu dzięki — rzekła Staromiejska, stara, pomarszczona kobiecina — Bogu dzięki! A co za szczęście?

Staromiejski nie mówiąc ani słowa wydobyl ze swej torby parę dużych kłębów nitki półjedwabnych, następnie kilka lokci różnobarwnych wstążek i błyszczących szklanych paciorek dla „dzieci“.

— Na, macie! — rzekł z tryumfem, kładąc te łupy na stole. Matka i „dzieci“ wytrzeszczyły oczy. A trzeba wiedzieć, że dzieci te, to były trzy dorosłe już córki Staromiejskiego, wszystkie trzy kaleki na nogi. Biedne te istoty zaledwie z wielkim trudem mogły się poruszać, siedziały więc wiecznie w chacie i nie miały żadnej nadziei na zmianę swego losu. Staromiejski był niegdyś niezłym gospodarzem, gospodarstwo to jednak podzielił między dwóch synów, a sam z córkami pozostał w tej chałupie, do której przylegał tylko niewielki ogródek. Córki jego szyły, haftowały, plotły czepce i tem utrzymywały rodzinę, ojciec chodził dostarczając im zarobku, matka zaś prowadziła gospodarstwo domowe, od czasu do czasu pomagając córkom w robocie.

— A to co? A to skąd? — w jeden głos zapytały dziewczęta.

— Aha, skąd? Od żyda.

— No, wiemy, że nie od wilka — rzekła jedna z nich — ale za jakie pieniądze?

— Za żydowskie.

— Gadaj bo na rozum! — rzekła matka — Gdzie czepece?

— Sprzedane wszystkie do jednego. I nie dość na tem. Na drugi poniedziałek ma być jeszcze gotowych pięćdziesiąt sztuk, i musi być gotowych, choćby tu niewiedzieć co! Jużem zadatek wziął, całego reńskiego.

— Pięćdziesiąt sztuk! — zawołały wszystkie cztery kobiety. — A to dla kogo tyle czepców potrzeba?

— Pewnie gdzieś cała wieś dziewcząt naraz zamąż wychodzi — żartowała najstarsza córka.

Staromiejski opowiedział swą historię z żydziakiem w Drohobyczu.

— Ej, stary — rzekła Staromiejska — uważaj tylko, żeby cię ten żydziak w pole nie wywiódł!

— Jak mię ma wywieść? — zawołał Staromiejski.

— Ja jego mogę wywieść, bom wziął od niego reńskiego zadatku. A on mi co może zrobić?

— Może wziąć czepece i nie zapłacić.

— Ho, ho, na taką plewę mnie nie złapie. Połóż pieniądze, to masz towar — oto mój zwyczaj!

— Ależ ty nie wiesz, kto on i co, to jakże można zachodzić z nim w interesa?

— A co mię to obchodzi, kto on i co, byle tylko robotę dawał i pieniądze płacił. Niech sobie będzie i ty-sy dyabeł, żebyśmy tylko my uczciwie swoje robili!

— Bój się Boga, człowiecze, co też ty wygadujesz! — zawołała stara, żegnając się pobożnie, ale zarzutów żadnych przeciw żydkowi już nie podnosiła.

Niewłócznie też cała rodzina Staromiejskich zasiadła do krosienek. Cały tydzień szła robota, jak na maszynie. Wszyscy siedzieli nie rozginając grzbietów, nie dosypiając nocy, zaledwie znajdując parę chwil czasu na obiad i kolację. Jedyną zabawą ich przy tej żmudnej robocie były pieśni i rozmowy. Dziewczęta spiewały i wylewały w pieśniach swą zbolalą tęsknotę do życia, do uciech młodości, do tego wrzącego wiru, który kręcił się i pieniał tam po za ich oknami, a od którego one były na zawsze wyłączone, jak suche gałązki, wyrzucone falą daleko na brzeg i pruchniejące na suchym żwirze. Stary zaś jak dziecko snuł różowe plany.

— Nie bójcie się dzieci — mawiał. — Jakoś to Bóg da, będzie i na naszej ulicy prażnik. Czekajcie tylko! Tego tygodnia zarobimy osiem reńskich, na drugi tydzień osiem, co tygodnia osiem, Chryste Jezu! Peż to na rok wyniesie! Pięćdziesiąt tygodni po osiem reńskich toć to całe cztery setki. A nam na życie i na wszystkie potrzeby i jedna setka, przy tem co u siebie mamy, wystarczy. To trzy setki będziemy mogli odłożyć do skrzyni, rozumiecie, dzieci. A co wtenczas będzie, Maryńciu, ha — mrugał zwracając się do najstarszej córki.

Dziewczyna nic nie odpowiadała, tylko oblewała się całą rumieńcem i pochylała głowę nad krosnami, pracując ze zdwojoną szybkością.

— No, no, nie potrzebujesz się wstydzić, wiem ja co tam u ciebie na sercu. A wiesz, kiedyś to spotka-

lem Andrusia w Starej Soli, kazał ci się kłaniać. Służy u księdza. Mówił, że jak wysłuży ręk, to się do nas dowie.

Andrus ten, był to biedny sierota, któremu się spodobała Maryńcia, mimo jej kalectwa. Rodzice wiedzieli o tem. Andrus służąc w pobliżu, często bywał u nich i rozmawiał z dziewczyną, nie chciał się jednak żenić, dopóki nie „wyjdzie z klas“, t. j. nie będzie wolnym od poboru wojskowego i nie zasłuży sobie przynajmniej tyle pieniędzy, by starczyło na dokupienie kawałka gruntu lub bodaj pary koni i woza, z którymiby mógł rozpocząć zarobek furmański.

Maryńcia czekała na niego z upragnieniem, którego siłę i trwałość zrozumieć może tylko więzień i kaleka. Nowy zarobek, tak niespodzianie i obficie dostarczony im przez Hawę, oskrzydlił jej nadzieje. Biedna dziewczyna co rana i co wieczora gorąco modliła się do Boga za tego nieznanego, a tak wspaniałomyślnego dobroczyncę. Modliła się za niego i cała rodzina. Młody, zdrowy i do ciężkiej pracy zdolny mężczyzna w chacie zamieszkałej przez samych inwalidów był skarbem nieocenionym, wniósłby nowe życie, nową nadzieję we wszystkich. Młodsze siostry już z góry cieszyły się szczęściem Maryńci, które było dla nich niejako zadatkiem własnego ich szczęścia. Czepce jedne po drugich schodziły z krosien, rosły jak na drożdżach, i tym głowom, które je kiedyś nosić miały, pewnie nigdy nie przyśnią się nawet owe ciche, tężowe nadzieje, marzenia, obawy i modlitwy, jakie towarzyszyły każdemu splotowi tych delikatnych nitek, każdemu węzłkowi i każdemu misternie związanemu oczku.

Nawet stara Staromiejska pod wpływem ogólnego podniesienia ducha wyprostowała nieco swą zgarbioną postać i odmłodziła.

VII.

Minął tydzień — i wszystko poszło jak najlepiej. Czepce były gotowe, Staromiejski doręczył je Hawie, wziął pieniądze, otrzymał zamówienie na nowych pigędziesiąt czepców i zadatek na materyał, i powrócił do domu uradowany. Reбота szła dalej.

W następną niedzielę mieli niespodzianych gości. Sam ich dobroczynca, Hawa, zjawił się w ich chacie. Staromiejska, zobaczywszy nędznego, obszarpanego i zapyłonego żydka, chciała mu dać kawałek chleba, myśląc, że to żebrak, lecz w tej chwili mąż jej, zobaczywszy Hawę, wyskoczył z pościeli, gdzie odpoczywał i uściśkał Hawę, jak syna.

— To ty, Hawo! Co tu porabiasz?

— A coby? Przyszedłem was odwiedzić. Mam tu interesy, tom i do was wstąpił po drodze.

— Masz interesy? Tu, w Starem mieście? Co ty tu możesz z Drohobycza mieć za interesy?

Hawa się uśmiechnął.

— Ot, tak sobie — rzekł, pochylając na bok głowę — nasze, żydowskie interesy. Ny, a co, czepce gotowe?

— A jakże, a jakże, gotowe i spakowane. Właśnie miałem dziś popołudniu wyruszyć z nimi w drogę.

— No, to nie potrzebujecie wyruszać, ja sobie sam zabiorę.

— A jakże idzie rozsprzedaż?

— Ot, jako tako — odrzekł Hawa. — Kłopotu dosyć, a zarobku mało.

— Ktoby tam tobie wierzył! Zresztą cóż, jesteś jeszcze młody, to i pokłopotać się możesz.

Hawa niedługo rozmawiał ze Staromiejskim, lecz za to pilnie oglądał całą jego chatę i rodzinę, zabrał czepee, zapłacił pieniądze, zamówił dalszą partycję na następny tydzień z tym warunkiem, by mu Staromiejski przywiózł je do Sambora, i poszedł. Wdzięczna Staromiejska tem przynajmniej starała się okazać mu swą przychylność, że mu dała na drogę sześć ugotowanych jaj, które Hawa przyjął z wielką wdzięcznością.

Hawa rzeczywiście nie bez celu odbywał daleką drogę z Drohobycza do Starego miasta. Idąc od wsi do wsi handlował czepecami, wstążkami, paciorkami, skupował szeceć, skórki kun, zajęcy, wyder i t. p., przypatrywał się i wybadywał, gdzie chłopci zajmują się jakim przemysłem, i wszystko to układał w swej pamięci, jak woreczki, z których przy danej okazji można i trzeba będzie wyciągnąć ładny pieniądz. Specjalnie zaś szło mu na razie o to, by się przypatrzeć domowemu życiu Staromiejskiego, wywiedzieć o jego stosunkach rodzinnych i majątkowych i odpowiednio do tego ułożyć sobie plan taki, by tej złotej nitki nie wypuścić już z rąk. Stary Fawel podczas długich wędrówek po wsiach dał mu już niejedną mądrą radę, jak postępować w takich wypadkach, a i zacnego Hawę Pan Bóg nie skrzywdził na zdolności kombinowania. Czuł w sobie już teraz siłę, pomimo tak młodych lat, prześcignąć swego mistrza i litował się nad starym

Fawlem, który mimo swej mądrości i praktyczności w sześćdziesiątym roku życia był tak samo biednym, jak on w piętnastym.

Od żydów staromiejskich dowiedział się Hawa bez trudu o całej historii i wszystkich stosunkach rodzinnych starego „czepeczarza“, dowiedział się nawet o jego planach wydania córki za mąż, usłyszał wszystko, co mu było potrzeba o przyszłym zięciu, i odpowiednio do tego, wracając piechotą do Drohobycza, zaczął układać swój plan.

Przedewszystkiem faktem było, że czepee szły nadzwyczaj dobrze. Hawa nie rozsprzedawał ich w okolicy, ale przez znajomych żydów i za gotowe pieniądze wysyłał je partycjami po dziesięć, po dwadzieścia lub więcej sztuk do Stryja, Skolego, Turki, Boryni, Kormarna, Rudek i Bóg wie dokąd jeszcze. Co raz to nowe przychodziły zamówienia i cały interes z czepecami przynosił mu tygodniowo pięć reńskich czystego zysku przy małym stosunkowo kłopotcie. Był to więc interes, którego nie należało z rąk wypuszczać ani psuć.

Z drugiej zaś strony miarkował sobie Hawa, że jeżeli pozwoli rodzinie Staromiejskiego stanąć na własnych nogach, to w takim razie łatwo być może, że mu się wymkną z rąk, że jaki inny żyd odbije mu ten zarobek. Osobliwie niepokoił go ten przyszły zięć, parobczak energiczny i pracowity.

— Lepiejby było, żeby on przepadł gdzie do diabła, lub żeby go do wojska wzięli — mruzczał Hawa.

Lecz wkrótce myśli jego inny wzięły obrót:

— I cóż on mi może zaszkodzić? — rzekł prawie radośnie. — Biedak i goły, do gołych się przylączy,

co z tego będzie. Będzie zarabiać furmanką — co on tam tego zarobi. I co to za zarobek: dziś jest, jutro go niema. A jeżeli się zarobek urwie, wtenczas można go będzie razem z innymi wziąć w ręce. Dla mnie jeszcze lepiej. Znajdę i dla niego robotę. Dobrze, niech i tak będzie. Niech się żeni, niech przystaje do tej kaleki, będę ich miał więcej!

— Tylko przedewszystkiem, Hawo — rzekł sam do siebie z ojcowskimi upomnieniami — nie spiesz się! Masz czas! Aby nie raptem! Nie chciej wszystko od razu zabrać, ale pomaleńku. Teraz jest dobry zarobek i dla mnie i dla nich — niech zarabiają, niech się cieszą, to nic nie zaszkodzi. Kto wie czy to długo potrwa. Zresztą potrwa czy nie potrwa. Skoro zobaczysz, że im grzebień zaczyna odrastać, trzeba tak zrobić, żeby trochę schudli. To im da poznać, że na świecie raz się wiedzie, drugi raz nie. Potem znowu ich trochę podniesiemy — będą wdzięczni — potem znowu na dół. A tam zobaczymy, co się dalej da zrobić. Ho, ho, jakoś to będzie. Chybaby nie kwitła, żeby nie rodziła!

— A tymczasem — miarkował dalej Hawa — trzeba się pilnie rozglądać za innymi interesami. Co tu interesów, ładnych interesów! Dalibóg, nie rozumiem, jak to tego nikt w ręce nie bierze. Żydzi pozasiadali po szynkach, skupują u bab jaja i masło — i myślą, że już Bóg wie czego dokazali. A co to za geszeft — jaja i masło? Tfu! Tu nie takie są geszefty, tylko umieć je wziąć w rękę. Ot w górach bojki woły wypasają — aj-aj-aj, jakie woły! Żydzi kupują je na jarmarkach i pędzą do Wiednia. Głupi! co na tem zy-

skać można? Nie wiele, bo bojko na jarmarku targuje się jak wściekły. A niech tam parę wołów padnie w drodze, to jaka strata? A jeżeliby tak tego bojka podejść z innej strony, tak żeby te woły były niby to jego, a właściwie moje — on by je wypasał i na jarmark przypędzał, a jabym je sprzedawał i pieniądze do kieszeni chował — fu! Ta tam para wołów po czterysta, po pięćset reńskich! Czy to nie geszeft?...

I Hawa aż oczy zamrószył i usta złożył niby po oblizaniu łyżki z miodem, tak ponętym i wspaniałym wydał mu się ten nowy geszeft, rysujący się w jego fantazyi na razie jeszcze w nieokreślonych konturach, nie mniej jednak w różowych barwach.

VIII.

Minęło pół roku. Staromiejscy żyli jak u Boga za drzwiami. Zarobek szedł, i to teraz podwójnie, gdyż Maryńcia była już od miesiąca żoną Andrusia, ten posiadał wóz i parę dobrych koni i woził progi pod budującą się od Dobromila do Chyrowa kolej, zarabiając przy tem ładny pieniądz. Prawda, od dwóch miesięcy Hawa zamawiał już mniej czepeców, ale za to dla jakichś mazurskich wsi okazała się potrzeba drobniotkich siatek, służących za welony ślubne, i siatki te dawały zarobek jeszcze lepszy niż czepece.

Był piękny jesienny dzień, kiedy Hawa znowu zawitał do chaty Staromiejskiego. Chata ta pod rękami młodego i gospodarnego Andrusia również odmłodziła i przybrała widok porządnej, zagospodarowanej osady.

Hawa nie patrzył jednak na to otoczenie; w oczach jego tliły jakieś iskierki jak w oczach kota, składającego się do skoku na mysz.

— Dzień dobry wam, panie Staromiejski — rzekł Hawa wchodząc.

— A, jaksie masz, Hawo?

— Źle się mam — rzekł żydek, siadając na ławie — kiepskie czasy.

— E, co tam, da Bóg, targi się poprawią.

— Być może, że się kiedyś poprawią, ale teraz kiepsko z nami. Wiecie, już trzy tygodnie czekam. Od trzech tygodni ani jednogom czepca nie sprzedał.

— Nie może być! — zawołał Staromiejski na pół żartobliwie, bo nie wierzył słowom Hawy.

— Ba, nie może być, kiedy jest. Wszyscy mają dosyć czepców na teraz, no, i co im zrobimy.

— Trzeba szukać gdzie dalej, gdzie nas jeszcze nie znajdują.

— Szukałem, nie nie pomaga. A ja myślę, że na jakiś czas trzeba będzie zaprzestać robić.

— Zaprzestać robić! — zawołał Staromiejski już z nieudanym niespokojem. — Teraz zaprzestać robić, kiedy najlepszy czas do roboty? Całe lato, kiedy można było w polu zarobić i sobie trzeba było choć cokolwiek ruszyć, tośmy siedzieli za krosnami, a teraz, kiedy sama pora taka, żeby siedzieć, my mamy zaprzestać roboty! Nie, Hawo, żartujesz.

— No, ale cóż ja wam poradzę! — żałośnie zawołał Hawa — kiedy u mnie nikt już czepców nie kupuje. Mam ich na składzie trzy kopy, co z nimi robić? A ilem w nich pieniędzy wbucał, sami policzcie!

— Ale bój się Boga, Hawo, cóż my będziemy robić?

— No, Bóg łaskaw i wy nie zginiecie — mówil uśmiechając się Hawa. — Macie nieuroku takiego dobrego zięcia, co tyle zarabia przy kolei, to jakoś wyżyjecie. A może za miesiąc, za drugi i robota z czepcami znowu się znajdzie. Skoro tylko zaczną kupować, to bądźcie pewni, że wam zaraz dam znać.

— No, ale te, co są już gotowe, co się z nimi stanie?

— A dużo ich macie?

— Czterdzieści sztuk.

— Cóż mam robić, muszę już wziąć, niech stracę, ale słowa dotrzymam.

Hawa wziął czepce i wypłacił pieniądze. Staromiejski stał przy stole, spoglądał na pozasnowywane niemi krosienka i na ździwione twarze córek i skrobał się w głowę.

— Nie, Hawo — rzekł wreszcie stanowczo — to nie może być, żebyśmy teraz zaprzestali roboty.

— Ny, to róbcie — rzekł spokojnie Hawa.

— Słuchaj Hawo. Ja myślę, czy nie będzie tak dobrze. U nas tu jest jeszcze parę centów uskładanych, nakupimy materiału i będziemy robić, a skoro się kupiec ruszy, to ty będziesz miał już towar gotowy. Dobrze tak będzie?

Hawie tylko tego trzeba było.

— Cóż, jeżeli chcecie, to niech i tak będzie. Ale ja wam naprzód mówię, że nie wiem, jak długo trzeba będzie czekać na kupca.

— Cóż robić! Jak długo trzeba będzie czekać, to

zaczekamy, a tymczasem będziemy robić. Teraz przecież nigdzie na zarobek nie pójdziemy, a w domu darmo siedzieć, to grzech. A tak robiąc, przynajmniej nadzieję mieć będziemy, że nie darmo robimy.

Hawa wyszedł od Staromiejskich bardzo uradowany. Rzecz cała weszła na taką drogę, że koniec łatwo było przewidzieć.

IX.

Minęły dwa miesiące. Zdawało się, że Hawa zapomniał zupełnie o swych dawnych znajomych, nie odwiedzał ich, ani żadnej im o sobie nie dawał wiadomości. Aż oto raz w poniedziałek, podczas strasznej pluty i szarugi spotkał na rynku drohobyckim Staromiejskiego. Stary był zablocony, zbiedzony i wynędzniały, zgarbił się i postarzał o lat dziesięć. W ręce skostniałej od zimna trzymał swą laskę z dzwonkiem i na niej pęk czepców. Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi, nikt się nie zbliżał i nie pytał nawet o cenę towaru.

— Jaksięmacie, panie Staromiejski! — zawołał Hawa, zbliżając się do niego.

— A, jak się masz, Hawo! — rzekł Staromiejski jakimś złamanym głosem.

— Ny, co tam u was słyhać?

— Bieda, Hawo! Przyjdzie nam wszystkim na pniu umierać.

— Jak to umierać? Za cō umierać? Po co na pniu?

— Z nędzy, z głodu! Zima idzie, a u nas zarobku ani rusz.

— Dla czego? Przecież przy kolei teraz zarobki najlepsze, dobrze placą.

— Co z tego, kiedy zięciowi jeden koń padł, a jednym koniem co zarobi?

— Jeden koń padł? O, to źle. Trzeba kupić drugiego.

Ba, kupić, a za co kupić? Cośmy mieli pieniędzy, tośmy wydali na nici, napletliśmy tych przeklętych czepców, i leżą ich całe kupy, a nikt kupować nie chce.

— A wyście chcieli sami sprzedawać? — żywo zapytał Hawa.

— Nosilem i do Sambora i do Przemyśla i do Drohobycza, nigdzie nikt ani się nie patrzy. I co teraz robić, co począć, to i sam nie wiem.

— I ja nie wiem — rzekł Hawa — i moje czepce leżą.

— Widać, że nas Bóg opuścił całkowicie! — rzekł Staromiejski, uderzając się ręką o połą.

— Ny, nie mówcie tak, panie Staromiejski — rzekł poważnie Hawa — tak się nie godzi mówić. Wiecie co, chodźmy razem do szynku, wypijemy po szklance piwa, ogrzejemy się trochę, bo tu dyabło zimno, i pogadamy, może się znajdzie dla was jaka rada.

Staromiejski chętnie podążył za Hawą. Promyk nadziei zajaśniał na jego pochmurnym horyzoncie.

— Wiecie co, panie Staromiejski — rzekł Hawa, gdy się trochę ogrzali i wypili po szklance piwa — dużo wy macie tych czepców gotowych?

— Całych pięć kóp. Czepce jak złoto, a co mi z nich?

— Nikt nie kupuje?

— Sam widzisz, że nikt.

— Ja wam to dawno mówił. Ny, ale co teraz gadać, teraz trzeba co radzić. Dużo wam potrzeba na konia?

— Ta, żeby choć jakiego charłaka. Teraz na paszę ciasno w naszych stronach, za trzydzieście reńskich można kupić konia.

— Trzydzieście reńskich! to suma pieniędzy, panie Staromiejski! Ny, ale wiecie co, ja wam dam trzydzieści reńskich — za wasze czepce.

— Jakto za moje czepce?

— No, tak, za wszystkie pięć kóp.

— Bój się Boga, Hawo! — krzyknął Staromiejski — przecież ja za sam materiał przeszło dwadzieścia i pięć reńskich zapłacił, a nasza robota!...

— Wiem to, wiem, ale cóż ja wam poradzę? Ja i tak tylko z dobrego serca chcę wam pomódz. U mnie jeszcze tamte czepce leżą, ale tak kupuję, na stratę. Pięć kóp! Co ja z taką masą pocznę? A nie chcecie mojej pomocy, to ja się wam nie nabijam!

Staromiejski aż zadrżał. Promyk nadziei, co mu błysnął był przed chwilą, zaczął teraz rozplywać się i tonąć we mgle.

— Nie, Hawo — rzekł on, dotykając się zgrzybiałą ręką chudego łokcia Hawy — ja wiem, że ty dobry chłopiec, ale bój-że się Boga, trzydzieście reńskich za pięć kóp czepców, toć to wychodzi czepiec po dziesięć centów, równo połowa tego, co wart towar.

— Wiem to, wiem — rzekł Hawa — ale cóż ja mogę na to poradzić, kiedy teraz tego towaru nawet za połowę ceny nie sprzedam.

— No, ale przeczekasz trochę, to jeszcze z zyskiem sprzedasz.

— Przeczekasz! — krzyknął oburzony Hawa. — Co to znaczy przeczekasz! A wam dobrze czekać? Czekać wy, kiedy wam tak dobrze! Wy myślicie, że ja pieniądze robię, żem bogacz, żem gospodarz na gruncie, to mogę czekać? Jak ja mogę czekać? Jeżeli dziś nie mam pieniędzy, to muszę z głodu zdychać i nikt mi nie pomoże. Dla mnie czekanie — śmierć, jeszcze gorzej niż dla was!

— No, no, Hawo, nie gniewaj się — uspokajał go Staromiejski — ja to tak tylko powiedziałem, nie ze złego serca. No, niech już będzie po twojemu, co mam robić. Przecież nie mogę patrzeć własnymi oczyma na zgryzotę dzieci. Och, Hawo, gdybyś ty wiedział, jakie tam u nas piekło od tego czasu, kiedy nam koń padł! Serce się kraje. Dzieci płaczą, zięć chodzi jak waryat, omal że głową o ścianę nie bije, ani rozmowy, ani roboty żadnej w chałupie. Jeszcze jak byśmy kogo pochowali z pomiędzy siebie, to by tak ciężko nie było.

I dwie grube łzy zakręciły się w oczach Staromiejskiego. Hawa odwrócił się, żeby nie widzieć tych łez.

— Ny — rzekł po chwili, gdy się stary nieco uspokoił — więc jakże będzie z czepcami? Przystajecie na moją cenę?

— Co już mam robić — rzekł stary — niech i tak będzie. Tylko wiesz co, Hawo, nie zapominaj o nas nadal! Daj nam zarobek, żebyśmy daremnie nie

siedzieli, bo się boję, że przy tej zgryzocie wszyscy powaryujemy.

— E, Bóg z wami, panie Staromiejski, co wam też do głowy przychodzi. Niech nas wszystkich pan Bóg broni od tego! A teraz słuchajcie, co wam powiem. Ja tu przywołam pisarza, zrobimy kontrakt na tę sprzedaż, podpiszemy kontrakt przy świadkach u notaryusza i ja wam zaraz dam pieniądze.

— A to po co jeszcze pisać i notaryuszowi płacić? Chyba mi nie wierzysz na słowo?

— Ny, co tam, wierzysz, nie wierzysz, zawsze to lepiej być pewnym swego. A koszta wszystkie ja sam ponoszę, to już moja rzecz.

— Ha, jeżeli już tak chcesz, to niech i tak będzie!

Hawa wkrótce znalazł pokątnego pisarza, który tamże w szynku przesiadywał i za szklanek piwa napisał im kontrakt żądany. Dopóki on skrobał piórem po papierze, Hawa, kazawszy dać jeszcze szklanek piwa dla siebie i dla Staromiejskiego, omawiał z nim jeszcze jedną rzecz.

— A co do dalszego zarobku, to rzeczywiście nie wiem już, jak mam się brać do tej rzeczy — mówił Hawa. — Chyba wiecie co zrobimy? Plećcie wy z mego materyału.

— Cóż, dla nas to wszystko jedno.

— Ja wam za robotę od sztuki dam po osiem centów.

— Osiem centów, Hawo? To za mało.

— Mnie się zdaje, że nie za mało. Słuchajcie dalej. Co tygodnia zrobicie mi sztuk trzydzieście — to już musi być, czy będzie targ na czepecie, czy nie.

— Właśnie w takim razie czystych pieniędzy 2 zł. 40 tygodniowo. Mało to, mało, ale przynajcie sami, przecie lepiej niż nic. I nie potrzebujecie wszyscy robić. Jedna córka może co szyć, druga praść, czy jak tam. A skoro tylko odbył będzie lepszy, ny, to zrozumie się, że i roboty będzie więcej i zarobku więcej. No, cóż, przystajecie?

Staromiejski zwiesił swą głowę. Czuł, że Hawa wkłada na niego jarzmo, ale nie widział sposobu uchronić się od niego i po krótkim wahaniu przystał.

— Ny, to i na to zrobimy kontrakt notaryalny.

— Kontrakt? A to jakim sposobem?

— Ny, tak, po prostu, napiszemy, że przez rok od dzisiejszego dnia ja zobowiązuję się wam co tygodnia dawać materyał co najmniej na 30 czepeców, a jak trzeba będzie, to i na więcej i za każdy zrobiony czepec płacić wam po 8 kr. Po roku chcecie dalej ze mną prowadzić interes, to dobrze, a nie, to nie. Myślę, że na to możecie spokojnie się podpisać.

I Staromiejski podpisał się rzeczywiście. Hawa aż ręce zacierał z radości. Interes był świetny. Odbyt na czepecie miał zapewniony w górskich powiatach, a płaca, jaką mu się udało narzucić Staromiejskim, zapewniała mu zysk prawie 100 procent od włożonego kapitału.

Pobiegł więc po starego Fawla, który jako jego opiekun z powodu jego małoletności miał jego imieniem zawrzeć kontrakt ze Staromiejskim. Stary Fawel aż w ręce klasnął i zamokał, gdy się dowiedział od Hawy o interesie z czepecami, o którym jego pupil dotychczas nie mu nie wspominał, prowadząc rzecz całą

nader ostrożnie i skrycie. A gdy po podpisaniu obu kontraktów wyszli z kancelaryi notaryusza, Fawel z rodzajem trwożliwego podziwu spoglądał na wysoką, chudą i ruchliwą figurę swego wychowanka.

— Ny, nieuroku go! — szeptał — z niego pewnie coś wielkiego będzie! Za moich czasów takich chłopców nie było. I pomyśleć, że to jeszcze szesnastu lat nie skończyło! Co to on pokaże ze siebie, gdy mu dwadzieścia minie!...

Hawa zaś, chowając do kieszeni swego chałata drogocenne dokumenty, dające w jego ręce na rok całą biedną rodzinę, szeptał:

— Bogu dzięki, Bogu dzięki! I to dobre na początek.

Jeden dzień z życia uliczników lwowskich.

— Władku! Naczku! gdzie was dyabli noszą?

— Lezie jeden z drugim, jak Lelum i Polelum!

— Świniaki! Mówią, że o pierwszej będą na miejscu, a tu już prędko drugiego bić będą¹⁾.

— Dać im w kark po raz, niech się ucą słowa dotrzymywać!

— Sponiewierać im front!

— Zakobzać ich po pod szczęble!²⁾.

— Zajechać im między lipki, żeby im aż Wojtek zakapował!³⁾.

Takie wykrzykniki i delikatne propozycje słysząc było z wielkiej hałaśliwej gromady dzieci ulicznych na jednej z odludnych ulic Lwowa, pewnego pięknego jesiennego dnia. Dzieci umówiły się właśnie zrobić wspólną wycieczkę na Pełczyńskie „góry“ — na tarki, pieczarki, głogi, przy okazji także na kartofle, marchwie, brukwie, które można było namuchać⁴⁾ z przyległych

¹⁾ W żargonie uliczników znaczy — druga bić będzie.

²⁾ Poszturchać ich po pod żebra.

³⁾ Uderzyć ich między oczy, żeby im aż księżyc zawiecił.

⁴⁾ Nakraść.

zasadzonych pól. W lasku wóleckim miano zapalić ogień, piec kartofle i grzyby — w ogóle całe popołudnie, spędzone na swobodzie, pośród bogatej jesiennej przyrody, według słów aranżera Stefka, niedawno wypędzonego z warsztatu terminatora stolarskiego, miało być „przyjemnem, jak sto dyablów“.

Dzieci zgromadziły się już od godziny, ale nie wyruszały pomimo nalegań niektórych zbyt niecierpliwych. Stefko, chłopak już prawie pod wąsem, dzierżący przewództwo nad tą całą gromadą jedynie na mocy swej przeważnej siły fizycznej, wstrzymywał hałaśliwą zgraję, dopóki nie zbiorą się wszyscy uczestnicy zamierzonej wycieczki. Osobliwie potrzebni mu byli Władek i Naczek, dwaj bracia bliźniaki, wyrostki, liczące po dziewięć lat, znane ze swej zręczności i chyżości. Nikt z całej kompanii lepiej od nich nie umiał uporać się w ogrodzie, lub pośród drzew owocowych, nie potrafił zręczniej umykać przed pogonią, korzystać z najnieznaczniejszych kryjówek i z bogatszymi wracać łupami. Nie dziwi więc, że w oczach Stefka, biorącego sprawę wycieczki czysto ze strony praktycznej, Władek i Naczek byli uczestnikami niezbędnymi i że wołał całą godzinę wstrzymać niecierpliwą rzeszę na miejscu, niż bez nich w pole wyruszać.

Wreszcie oczekiwani pokazali się na skrawku ulicy i zostali przywitani gradem gróźb, wyrzekań i żartów. — Gdzieżeście u dyabła tak długo siedzieli? — pytał ich Stefko, gdy stanęli wśród kompanii.

— Musieliśmy czekać na obiad. Wojciechowa rano gdzieś tam na chrzcinach była, wróciła dopiero o jedenastej i to już podochocona. To najsamprzód póki

nas obu wybiła, potem póki się z mężem wyklóciła, dalej nim ogień rozpałała i kartofle do barszczu zgotowała, to i pierwsza minęła.

— A za cóż was biła?

— Albo ja wiem — odparł Władek. — Dalibóg nie wiem, czy za kocię, czy za mleko.

Cała kompania zaśmiała się głośno.

— Jak to, czy kocię może mleko zjadło?

— E, gdzie tam! — spokojnie odrzekł Władek — zachorowało kocię na brzuch, pewnie od tych zgnitych ogórków, cośmy je wczoraj nimi napchali. Radzimy się dziś rano oba: czemu kocięciu pomódz, bo szkoda, jakby miało zdechnąć. Mówi Naczek: wiesz co, skąpmy je w mleku! Dobrze, mleko pomaga, osobliwie gdy ciepłe. A nasza stara, wiecie, ma grajzlernię, to i mleka co dzień rano gruby garnek kupuje, upraży i sprzedaje na półkwatki. I dziś tak samo. Uprażyła to mleko, odstawiła na bok, a sama zebrała się, poszła na chrzciny, a swego głuchego Wojciecha zostawiła w grajzlerni, niech sprzedaje. Nam tylko tego trzeba było. Zaraz my chore kocię z pieca, pomacali mu puls — oho, kiepsko! Koniecznie trzeba leczyć. Ano, wziął Naczek za ogon, ja za głowę, kocisko ci tylko łapki rozkraczyło i cicho. Pytam ja się Naczka: a co, Naczku, czy pomału zanurzać, czy od razu? A Naczek mówi; kto wie, może to uroki, to trzeba od razu, by się przelękło, to i uroki się przelękną i ustąpią. Myślę sobie: ma rację. Jak ci hukniemy leciuteńko kocię do mleka, jak kocię od razu nie miauknie, niby wściekle, jak nie chwyci mię pazurami za rękę, ja jak się nie zląknę i nie trzepnę ręką, a moje kocię całe zatonęło

w mleku, tylko Naczek za ogon trzymał. Potrzywał chwileczkę, wyciąga, a kocisko ci całkiem gołe jak bęben, i spuchnięte jak beczka, tylko para z niego idzie. Rozumie się, że nieżywe, bo mleko, psiakość, było jeszcze prawie kipiące, tak że od razu wszystka sierść z niego oblaża i w garnku pozostała. Na masz! — mówię do Naczka — otośmy kocięciu dali radę. E — mówi mi Naczek — bajka kocię, ale co będzie z mlekiem? — Z mlekiem? powiadam ja. — Idź, głupi, co ma być z mlekiem! Mleko stara precedzi i sprzeda po półkwatere, ale kocięcia szkoda. Zaczęliśmy się klócić, czego większa szkoda, czy mleka, czy kocięcia i poszliśmy na sąd do głuchego Wojciecha. Ale nimeśmy mu wytłumaczyli, o co rzecz idzie, aż już i Wojciechowa przyszła i zobaczyła cośmy narobili.

To opowiadanie Władka, wygłoszone całkiem niewinnie, a nawet nieco patetycznie, od początku do końca wywoływało nieustanne wybuchy śmiechu w całej kompanii. Stefko aż się za boki brał. Nawet Naczek, stojąc z boku, uśmiechał się dobroduszenie, nie tyle z samego opowiadania, ile z radości z powodu tryumfu brata, który między wszystkimi ulicznikami znany był ze swego talentu humorystycznego.

— No i cóż — zapytał Stefko, uśmiewając się do syta — rozsądziła Wojciechowa wasz spór?

— Nie! — odrzekł Władek prawie z płaczem. — Wybiła nas, co prawda, dobrze, ale na moje pytanie, za co nas właściwie karze, czy za kocię, czy za mleko, dała mi w pysk i koniec na tem. Ale ciągle myślę, że jej kocięcia większa szkoda, bo mleko stara

czarownica rzeczywiście zaraz precedziła — pewnie, że dziś jeszcze sprzedawać będzie.

— To stara czarownica! — rozległy się dokoła krzyki dziatwy. — Taż to choroba nie mleko!

— Owa! nie bójcie się — odrzekł mitygując Władek. — Wie ona, co robić. Mleko jeszcze raz przegotuje, zmiesza z czystym pół na pół, i nikt ani pozna, że się w niem chore kocię ugotowało.

Całą kompanię niezmiernie ubawiło to opowiadanie. Śród głośnych śmiechów i żartów ruszyli wszyscy pod dowództwem Stefka ku cytadeli, powtarzając między sobą na różne sposoby i z różnymi dodatkami Władkową powieść o kocięciu i jego oryginalnem leczeniu. Tylko autorowie tego wesołego opowiadania, Władek i Naczek, nie brali udziału w powszechnej wesołości. Szli oni na czele towarzystwa, po obu stronach Stefka, pilnie słuchając planu kampanii, jaki tenże na dziś ułożył i w którym im ważne role przypadają w udziale.

— Wiesz co, Władku — mówił Stefko, nachylając się na prawo — ty pójdiesz o tam na kartofle. A ty Naczku — tu Stefko, nachylił się na lewo — pójdiesz na brukiew.

— Nie — odrzekli obaj w jeden głos — my pójdziemy obadwa razem.

— Ale w takim razie zostaniemy bez brukwi! — zawołał Stefko.

— Bierz dyabli brukiew. Kartofle starsze od brukwi. A kiedy ci się tak chce brukwi, to idź sam albo poslij kogo innego.

— Kogo tu posłać, kiedy to wszystko taki dro-

biażg, takie niezdary! Najlepiejby było, gdyby jeden z was...

— Nie, o tem nie ma co mówić! rzekł stanowczo Władek. — My tylko razem chodzimy.

Stefko wiedział o tem nie od dziś, ale mimo to próbował jeszcze raz nakłonić maleców, by się rozłączyli. Wszelkie jednak namowy były bezowocne. Chłopcy, zdawało się, ani wyobrazić sobie nie mogli, żeby gdzieś się ruszyć jeden bez drugiego. Za to obaj razem szli jak w dym nawet na najniebezpieczniejsze wycieczki i zwykle wychodzili cało.

— Prawdziwi z was Lelum i Polelum — rzekł Stefko, klepiąc ich obiema rękami po plecach. — Ani sposób was rozłączyć!

— A chyba ty nie wiesz — rzekł ożywiając się nagle Naczek, który dotychczas milczał — że nasza matka jak umierała, to nam wyraźnie tak nakazała!

— Jak wam nakazała? — pytał zaciekawiony Stefko.

— A tak nam nakazała, żebyśmy się, broń Boże, jeden bez drugiego nie puszczali. „Pamiętajcie mi — mówiła — wszędzie i zawsze trzymajcie się razem! Bóg was razem na świat powołał, Bóg wam też szczęście będzie, dopóki się razem trzymać będziecie“. No, a skoro tak, to sam widzisz, że nam oddzielnie iść nie wypada.

— *Przezemnie*, idźcie obaj razem — rzekł Stefko, nie znajdując na taki dowód żadnej odpowiedzi. — A z brukwią już my sobie jakoś poradzimy.

Z szumem i hałasem przebiegła gromadka obdartej,

bosej i zamorusałej dziatwy przez groblę Pełczyńskiego stawu i rozsypała się po krzakach okrywających przeciwległe wzgórze.

Ożyły wzgórze od częstych krzyków, nawoływań i przekleństw, które bardzo nienaturalnie brzmiały w dziecięcych nieraz ustach. Ale cóż, ulica jest także pewnego rodzaju szkołą, gdzie ton i słownik jest dla wszystkich jednakowy i obowiązkowy.

— Władku! Naczku! — wołał Stefko, wdrapawszy się już na szczyt pagórka, z którego mógł swobodnie obejrzeć sąsiednie pola.

Władek i Naczek byli już przy nim.

— A więc wiecie już, dokąd macie iść?

— Wiemy, wiemy!

— A uważajcie dobrze! Tam i kukurydza jest!

— I kukurydzy nałamiemy.

— Tylko trzeba dobrze szpanować, bo w kukurydzy może żłob kymać¹⁾, żeby was nie zaścignął.

— Nie bój się, nic nam się nie stanie! — zawołali bracia i pobrawszy się za ręce, puścili się cwałem z góry na pole.

— A wiecie, dokąd potem iść — wołał za nimi Stefko.

— Wiemy, wiemy! Do wóleckiego lasku! — wołali w odpowiedzi chłopcy i wkrótce schowali się w grządkach zasadzonych wysoką kukurydzą. Jak w wodę wpadli w gąszcz sutej, szeleszczącej zieleni. Stefko długo spoglądał z góry, czy nie dojrzy ja-

¹⁾ Trzeba dobrze pilnować, bo w kukurydzy może chłop leżeć.

kiego ich śladu, ale nadaremnie. A przecież pole zasadzone kukurydzą wcale nie było tak obszerne, bo wynosiło zaledwie dziesięć grządek. Za kukurydzą szła dopiero szersza polać kartofli.

— Gdzie się te odmieńce podziać mogły? — mruczał sam do siebie Stefko, usiłując nadaremnie swemi oczyma z odległości przeniknąć gąszcz kukurydzy.

— I co tam tak długo robią? Czemu kartofli nie kopią?

Ale w tej chwili przerwał pasmo swych pytań i aż w dłonie klasnął ze zdziwienia. Na przeciwnym końcu kartoflanej polaci z pośród wysokich rządków i napoły zeschniętych badyli mignęła mu czarna, krótko ostrzyżona głowa jednego z braci.

— Widzisz ich! buchackie dusze — zawołał Stefko pełen zdziwienia. — Ja myślał, że oni jeszcze w kukurydzy, a oni już całe kartofle splądrowali! No, nie chciałbym ja słuchać tego, co żłob¹⁾ powie, gdy na swej niwie zobaczy ślady ich roboty!

Lecz w tej chwili pasmo rozmyślań Stefkowych jeszcze raz przerwane zostało wcale niespodziewanym sposobem. Z pośród kukurydzy wychyliła się potężna, barczysta postać właściciela i odcięła braciom odwrót. Za późno już było się chować, gdyż właściciel krzyknął do pracujących w oddali robotników:

— Trzymaj! Łapaj złodziei!

— Trzymaj! Łapaj! — rozległo się naraz z różnych stron.

— A tuście mi, ptaszki! — zaryczał właściciel,

¹⁾ Chłop.

postępując z rozkrzyżowanemi rękoma ku braciom, jak gospodyni, która chce naraz dwie kury pojmać.

Chłopcy wypłoszeni ze swych kryjówek zerwali się razem na równe nogi i w pierwszej chwili stali jak odrętwieli. Władek rozpedził się, by biedza ku potokowi, ale z za potoka już nadchodziła pogoń. Zatrzymał się i nagle jak kula rzucił się ku bratu, który z wybladłą twarzą i zagryzionemi wargami ciągle jeszcze stał na miejscu, mierząc okiem wielkość niebezpieczeństwa.

A gospodarz z wolna, z rozkrzyżowanemi rękoma, czerwony i groźny, zbliżał się ku nim.

— Razem na niego, Naczku! Wal mu głową w brzuch, żeby się na miejscu przewrócił! — krzyknął Władek, i obaj bracia, niby wypuszczeni z procy, rzucili się ku gospodarzowi.

Ale przeliczyli się. Zamiast wałnąć go głowami w brzuch, natknęli się na potężne, żyłaste ręce, które od razu chwyciły ich obu za kołnierze.

— Aha, mam was! — zawołał radośnie gospodarz i potrząsł obu młodymi przestępcami tak gwałtownie, że tym aż kości w karku zatrzęszczały i w oczach po sto świec zabłysło.

— Jeszcze nie masz, psia twoja mać była! — pisnął Władek, któremu aż lzy stanęły w oczach. — Naczku, wal go głową w brzuch, jak to ty umiesz!

Naczkowi nie trzeba było nawet gadać. Zaledwie stanął dobrze nogami na ziemi po gwałtownem wstrząśnieniu, a już ustawiwszy swą krótko ostrzyżoną głowę jak bodący baran, z całej siły uderzył gospodarza czołem pod bok tak gwałtownie i niespodzianie, że tenże aż stęknął i chwycił się lewą ręką za bok, wypu-

szczając z niej kołnierz Naczka. Ale w tej chwili krzyknął głośno z bólu i podniósł prawą rękę ku ustom: ręka broczyła krwią z długiej i głębokiej rany, zadanej mu przez Władka nożem w dłoń.

— A dyabli by was pobrali, przeklęte bachory! — zaklął nieborak za uciekającymi braćmi, splunął i ze stoickim spokojem wydobyl z zanadru chustkę i zaczął nią zawiązywać skaleczoną rękę.

A chłopcy tymczasem, jak wichur wpadli w kukurydzę, tylko badylami załomotali.

— Trzymaj! Łapaj złodziejów! — zawołali sąsiedzi, którzy właśnie nadbiegli na pomoc poszkodowanemu właścicielowi.

— E, dyabła wy ich złapiecie — rzekł właściciel. — Nawet się nie trudźcie. Niech sobie pohulają. Ja już im dam za swoje.

I rzekłszy to, przytrzymał zębami jeden koniec chustki, by móżdż zdrową ręką zawiązać węzeł na skaleczonej dłoni.

— Co wam takiego zrobili? — pytali sąsiedzi.

— Ta ot patrzcie, chwyciłem ich obu za karki, myślałem sobie: cóż, dzieci. Byłbym ich trochę przetrzepał i puścił. Dyabeł ich wiedział, że to już takie małe, a takie ćwiczone w złodziejskiem rzemiośle. O, pewnie z nich żaden swoją śmiercią nie zginie!

— No, no, i cóż wam zrobili? — pytali sąsiedzi, więcej ciekawi sztuczki chłopaków, niż ze współczucia ku poszkodowanemu.

— Ta ot widzicie co! Jeden z tego dyabelskiego nasienia jak mi walnął głową w bok, pod same serce, to o małym nie zemdlał. Zdaje mi się, że mi tam pa-

rę żeber połamał. A drugi w tej samej chwili wydobyl nóż i rozfałatał mi rękę aż do kości.

— A! krzyknęli jednym głosem sąsiedzi. — Oto dziateczki! Żeby nie urosły większe! Żeby im się ojciec powiesił! Żeby i ślad ich zaginał! No, patrzcie ludzie dobrzy, co to dziś za pokolenie wyrasta. Jezu Nazareński, nawróć was gdzie na złamanie karku, ale nie między naród chrześcijański!

Takie mniej lub więcej pobożne życzenia rozlegały się z gromadki ludzi, co obstała poszkodowanego właściciela. Ten stał pośrodku nich, blade, ale spokojny i wodził oczyma po swej niwie, oceniając zniszczenie, wyrządzone mu w kartoflach przez zuchwałych uliczników.

— No, i patrzcie ludzie, co mi te szelmy szkody narobiły — rzekł, gdy ucichły bezcelowe wyrzekania kumów i kumoszek. Na guldena bym się nie patrzył. No, i powiedźcie, jak tu żyć przy takiej zgrai? Ale nie, ja im tego nie podaruję! Ja im pokażę, którądy ścieżka w groch. Oni myślą, że ja będę z nimi biegał po debrach, jak waryat. Nie, niech sobie lecą — ja ich znajdę w samym gnieździe. Na szczęście wiem, gdzie ich szukać. To tej grajzlerki na Garncarskiej urwipolcie — nie wiem, czy synalki, czy wychowanki, ale dla mnie to wszystko jedno. Zapakuję ja ich do karmelitów, niech się tam trochę przesiedzą i już huncwot moje imię, jeżeli im tam nie wygarbują skóry.

Nie tak jeszcze byłby śpiewał właściciel, gdyby był wiedział, co robią chłopcy, uszedłszy jego rąk. W rowie granicznym, który oddzielał jego kukurydzę od łąki, między łopuchami leżała cała kupa nałama-

nych kaczanów kukurydzy, parę wielkich brukwi i kupa kartofli. Do tego też składu skierowali swe kroki zbiegi, a obladowawszy się, mimo bliskości poszkodowanego, nakradzioną jarzyną, polecieli razem w przyległy jar, a jarem w górę ku swym towarzyszom.

Stefko z góry, ukryty za krzakiem tarniny, widział całą tę historję, widział jak bracia wpadli w ręce właściciela, jak mu się wyrwali i znikli wśród kukurydzy. Odtąd minęła dobra chwila, a chłopców nie było. Już Stefko myślał, czy nie przelękli się i nie uciekli do domu, gdy w w tem z dna jaru, który otwierał się tuż u jego nóg, posłyszał lekkie psykanie.

— Pst, pst!

— Kto tam? — zawołał, nachylając głowę w stronę, skąd szedł głos...

— Czy to ty, Stefku? — posłyszał stłumiony głos Władka.

— Ja, a co tam?

— Chodź tu, pomóż nam zabrać. A prędej!

Nie namyślając się długo, Stefko na łeb na szyję rzucił się w dół po stronej ścianie jaru. Potłukł się porządnie, zdrapał sobie twarz o jakieś zielsko, pokrwawił ręce, któremi się starał utrzymać, ale za to w jednej chwili był na dnie jaru, i sapiąc ciężko stał obok braci.

— Nie leć za nami? — zapytali bracia w jeden głos.

— Nie, nikt nie leci. A wy co tu macie?

— Jak to co? To, po cośmy chodzili. Na, bierz, pomóż nam nieść i chodźmy prędko do lasu!

Stefko stał osłupiały na widok łupów, przyniesio-

nych w takiej obfitości, mimo tak groźnego niebezpieczeństwa.

— Dyabeł w was siedzi! — zawołał — Przecież was żłob miał w ręku! I nie baliście się jeszcze rwać?

— Bać tośmy się bali, bo gdyby był chciał za nami lecieć, to byłby nas mógł złapać. Ale znowu jakieśmy narwali, to grzech było zostawiać.

— No, a jakżeście się wyrwali od żłoba?

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Władek. — Pamiętajta on nas! Widzisz, tym majchrem¹⁾ rozłatałem mu rękę jak polędwicę!

— A ja, jakem mu kobznał makówką pod szczeble²⁾, to pewniem mu ze dwa złamał!

— A on sobie pomyślał, że za dużo dwa grzyby w barszcz i puścił nas na fraj.

— Ha, ha, ha. — zaśmiał się Stefko. — Zuchy z was, niema co mówić. Ho, bądźcie trojenie³⁾, aż się wszyscy dyabli rozradują. Ano, holota, do lasu!

To mówiąc, Stefko gwizdnął na swą kompanię i kryjąc się po jarach, pospieszyli ku pobliskiemu lasowi.

Nie minęło i pół godziny, a już w odległym zakątku lasu, w jarze, u stóp rołożystego dębu palił się ogień z suchych gałęzi i liści, piekły się w zarzewiu kartofle i obrane z liści kaczany kukurydzy, a Stefko siedząc na grubym korzeniu, jak jaki król wydawał

¹⁾ Nożem.

²⁾ Uderzył głową pod żebra.

³⁾ Jedzenie.

rozkazy i obdzierał siedzącą dookoła dziatwę równo pokrajanymi kawałkami brukwi.

Naczka i Władka znowu nie ma w kompanii. Razem z dwoma innymi chłopakami poszli na grzyby — nikt tak dobrze nie zna w tym lesie polanek i krzaków, gdzie zawsze mimo licznych amatorów grzybobrania można znaleźć kilkanaście ładnych gołąbków, surojadek i innych grzybów przydatnych do pieczenia. Zanim powrócą, kompania przegryza po kawałku brukwi, ale najlepsze, najsoczystsze kawałki leżą na stronie, na zielonym łopuchu, zachowane dla zbierających grzyby. Kartofli ani kukurydzy przed ich przybyciem nikt jeść nie śmie: upieczone kawałki odkładają na bok, w gorący popiół.

Boże, jak cudnie dokoła! Cisza, słońeczko grzeje łagodnie, chyląc się już ku zachodowi. Stare dęby stoją, wyciągając w górę swe potężne ramiona i grzeją się do słońca. Tylko zadumana brzoza nad jarem posmutniała i niby lży złote, bez wiatru roni swe żółtkłe liście. Dzieciół zastukał w konarze. Kapią od czasu do czasu na pół dojrzałe żołędzie z dębów, a tylko czasem, ledwie dostrzegalny doleci do tego samotnego ustronia głos blaszanego dzwonka na szyi u krowy, która się pasie gdzieś tam za gościńcem, w zubrzańskim zrębie. Dzieci mimowoli zamilkły, słuchają lekkiego trzeszczenia ogniska, patrzą dookoła szeroko rozwartemi oczyma, w których z pod grubej kory miejskiego zepsucia, przedwczesnego sieroctwa, nędzy i zaniedbania, prześwieca szczerza radość, to chwilowe, ale czyste szczęście, jakie wlewa w duszę ludzką piękna przyroda. Oto maleńka, żółtawa myszka

leśna wybiegła ze swej norki, zwabiona ciepłem i ciszą leśną, usiadła na pnju pod gęstym krzakiem leszczyny i nagle niby skamieniała, utkwivszy oczki w niewidziany nigdy krwawy blask płonącego ogniska, podniosła nawet ku pyszczkowi swe drobne, aksamitne łapki, jak gdyby chciała się bliżej przypatrzeć dziwnemu zjawisku, wreszcie ruszając żywo białymi wąsikami skoczyła na krzak leszczyny, chwyciła wiszący na gałązce orzech i w mgnieniu oka skryła się ze zdobyczą w swej norze. Dzieci z niemym podziwem spoglądały na śliczne zwierzątko, ale nikt ani śmiał krzyknąć, tem mniej rzucić za niem patykami, by go nie spłoszyć. Po co płoszyć? Przecież ono nikomu nie złego nie robi, i dzieci również w tej chwili nie chciały nikomu nie złego robić. To nie zgraja lwowskich uliczników i obszarpańców, aspirantów do kryminału i szpitali, wyrzutek społeczeństwa, to kupka dobrych, cichych dzieci, pragnących pieszczoty i miłości, zdolnych do wszystkiego co dobre i szlachetne, tuliła się w jarze u korzeni potężnego, starego dębu, przy ognisku. Niestety, ognisko to zgaśnie wkrótce, przeczudny dzień dobiega końca, chwila upojenia ciszą i pięknoscią przyrody minie, a społeczeństwo jak było, tak i pozostanie obojętnem na losy owych wyrzutek, jak było tak i pozostanie dziesięćkroć skłonniejszym do zemsty i kary, niż do miłości, przebaczenia i pieczołowitości macierzyńskiej.

— Hurra! — rozległ się głośny okrzyk z drugiej strony wąwozu i z zielonej gęstwiny, niby szczupaki z szuwaru, wynurzyły się zaczerwienione, obszarpane, z rozeczochranymi włosami, ale wesołe postacie chło-

paków. Czapki nieśli w rękę, a w każdej czapce pełno grzybów.

— Hurra! — powitała ich cała kompania.

— Oto klawe jandrusy ¹⁾! Szpanujcie, ile grzybów namuchrali!²⁾

— Żeby was kaczka kopała! gdzieżeście na takie śliczne gołąbki napadli?

— Nie, ja mówię, że bestye mają do wszystkiego szczęście. Rzuć ich ze strychu, to pewnie tak jak kot na nogi upadną.

— Wybierz im oczy, to tak jak ten bogacz będą plecyma widzieć!

Śród takich radosnych okrzyków cała kompania obstąpiła uszczęśliwionych chłopaków. Osobliwie Władek i Naczek byli w honorach, do nich skierowane były wszystkie powyższe delikatne przemowy, oni byli, że się tak wyrazimy, bohaterami dnia. Zabrano od nich grzyby, które pod okiem Stefka zaczęto czyścić i piec, odłamawszy każdemu korzonek i posypawszy to miejsce obficie solą. Grzybów było tyle, że na każdego z towarzystwa wypadło po trzy sztuki, a nadto zostało się jeszcze po jednej dla Stefka, Władka i Naczka. Rozdział grzybów, jak i wszystkich innych rzeczy dokonywano hurtownie, śród klótni i hałasu, ale z największą sumiennością i z uwzględnieniem wszelkich możliwych wymagań sprawiedliwości. Tylko Władek i Naczek, w poczuciu swej zasługi, nie mięszali się do tych sporów, ale siedzieli u ogniska pod

¹⁾ Chłopaki.

²⁾ Nazbierali.

dębem, smacznie zjadając pozostawione im kawałki brukwi i radośnie opowiadając o swej wędrówce po lesie za grzybami; słuchała ich pilnie, z wytrzeszczonymi oczyma, z otwartymi usty kupka najmłodszych w kompanii chłopaków, pięcio lub sześcioletnich bębnow, którzy z zazdrością i podziwem patrzyli na każdy krok braci, chwytali każde ich słowo, i zapewne całą noc, leżąc, gdzieś po brudnych, cuchnących i wilgotnych kątach nędznych swych mieszkań, marzyć będą o tych cudach przyrody, o przygodach śród leśnej zieleni, o tych przyjemnościach i rozczarowaniach grzybobrania, które w tej chwili tak wymownie malują im, dopełniając się wzajemnie, Władek i Naczek.

— Kukurydza gotowa! Hej do kukurydzy, bachory! — woła Stefko, i wszyscy rzucają się ku niemu. Za kukurydzą idą kartofle pieczone z grzybami — pańska potrawa, jak się wyraził któryś z towarzystwa. Wszystko to spożywa się śród głośnych śmiechów, żartów i dobrodusznych docinków. Ten wspomina swój „dom“, swoich „starych“ rodziców, czy opiekunów, ów klnie majstra, co go wypędził z terminu, inny wyśmiewa szkołę i stolarzy — jednym słowem konwersacya toczy się ogólna, ożywiona, suto przeplatana plastycznymi dowcipami w ulicznym języku. Dzieci, które przed chwilą jeszcze były tylko dziećmi, stworzeniami w rzędzie innych stworzeń przyrody, teraz nieznacznie, ale zupełnie przemieniły się w przedstawicieli pewnej klasy społecznej, pewnego typu ludzkiego i dobitnie wyjawily wszystkie osobliwości tego typu.

Słońce już zaszło, gdy wesola, gwarliwa gromadka

po pamiętnej wycieczce wracała do Lwowa. Gromadka rozbiła się na grupki, które szły sobie swobodnie, nie słuchając już żadnej komendy, tem więcej, że Stefko obławowany dość znacznymi resztkami niespożytych kartofli (przydadzą się na głodne jutro), szedł z samego tyłu. Dziwna rzecz, że Władek i Naczek szli samotni i przygnębieni, jak gdyby nagle spadli z tej wysokości, na której znajdowali się przed chwilą. Nikt się jakoś nimi nie zajmował, nikt nie starał się wciągnąć ich do swej grupy, szli osobno, jeden obok drugiego i milczeli. Im więcej zbliżali się do Lwowa, tem silniej wzmagalo się w nich uczucie jakiegoś niepokoju, jakiejś trwogi, coś, co niby czarna, w gromy brzemienna chmura, przy swem zbliżeniu nasyca powietrze elektrycznością i wywołuje niezwykle napięcie i drganie w nerwach ludzi i zwierząt. Żaden z braci nie starał się wyjaśnić sobie przyczyny tego niezwykłego i nieprzyjemnego stanu; na dnie dusz dziecięcych kłębiło się ciemne poczucie winy, ale świadomość wzdrygała się zerwać z niej ostatnią zasłonę.

— Władku — rzekł Naczek, gdy już zbliżali się ku ulicy Garcarskiej — jak myślisz, bardzo nas będzie Wojciechowa całować, gdy nas zobaczy po tak długim niewidzeniu?

Ton i słowa miały oczywiście intencję wprowadzenia Władka w lepszy humor, ale chybiły celu, już chociażby dlatego, że były wypowiedziane chłodno, oczywiście po długim i mozolnym namyśle.

— Et, co tam o tem gadać! — odrzekł poważnie Władek. — Co będzie, zobaczymy. — Lecz i jego myśl wcale nie była tak stoicka, jak jego słowa, prze-

ciwnie, pracowała usilnie, tworząc fantastyczne plany, jakby to i gdzieby się tak schować, żeby nikt a nikt nie mógł ani jego ani Naczka zobaczyć, żeby grożąca bieda — jaka, od kogo i za co, o tem starał się nie myśleć — minęła, a oniby jej ze swej bezpiecznej kryjówki na nosach zagrali. I poszły sceny ze scenami, jak to oni żyją sobie, przez nikogo nie widziani, sami wszystko widząc, wszędzie mając dostęp: biorą co im się podoba, wszystko mają, za nic nie płacą, robią co chcą i śmieją się z wszelkiej biedy. A tymczasem nogi, mimo, że co chwila stają się ociężalsze, nieświadomie i niby przeciw ich życzeniu niosą ich naprzód, ciągle naprzód, coraz bliżej do celu, do mieszkania ich opiekunki Wojciechowej. Już wychylili się z za pagórka, a ich stóp cały Lwów rozsypał się w półksiężyc na dnie doliny, lewek na ratuszu miejskim błyszczą i gore w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, zegar bernardyński wydzwania siódmą, biją w deski mularze na feierabend gdzieś koło św. Mikołaja; półprzezroczysty, niebieskawy tuman ściela się nad miastem i zlewa się w oddali z ciemną zielenią gęstego lasu na Wysokim Zamku. Ale cóż to za naród stoi tłumnie na Garcarskiej, tuż przed grajzlernią Wojciechowej? Mężczyźni i baby, drwale z piłkami i z toporami, mularz z kielnią, służąca z dwiema konewkami wody, Bojko ze sliwkami w koszyku, „handeles“ z przewieszoną przez plecy parą starych spodni, wszystko to kogoś obstało, czegoś słucha, kiwa głowami, gestykuluje. Z pośród czarnych chałatów, zgrzebnych koszul i perkalowych fartuchów miga żółta, mosiężna blacha policyanta. Innym razem widok podobny byłby dla chłopców pożą-

dańszym od piernika i pobiegliby co tchu, by swemi figurkami zwiększyć zbiegowisko uliczne, ale obecnie raptem zdało im się, że daleko lepiejby było, gdyby przed grajzlernią Wojciechowej nie było żywej duszy. Co więcej, przypatrzwszy się z góry nieco bliżej owej grupie ulicznej, obaj bracia poczuli nagle, że znajdują się zanadto blisko od niej, i jakby na komendę podali tył i zwrócili się do ucieczki. I nie bez przyczyny. W pośrodku grupy, obok policyanta, znajdowała się potężna postać gospodarza z Wulki, któremu dziś prócz szkody na niwie, zadali także szkody na ciele.

— Łapaj ich, łapaj! — rozległy się głośnie krzyki z grupy przed grajzlernią, i raptem zdało się braciom, że niebo pokryło się gęstemi chmurami, że drzewa okalające ulicę chyłą swe gałęzie aż ku ziemi i tamują im nietylko kroki, ale i oddech, i że kurz uliczny przemienia się pod ich nogami w lepłą smołę, która czepia się ich stóp, ciągnie się, wstrzymując ich kroki.

— Aha, tuście ptaszki! — słyhać gruby głos nad ich głowami, i jakieś ciężkie ręce jak młoty spadają na ich plecy i wałą ich obu razem na ziemię.

— Mamciu! Mameczko! Ratuj nas! — jęknął Naczek i zaniósł się konwulsyjnym łkaniem, podczas gdy Władek zagryzłszy wargi aż do krwi, bił rękami i nogami, starając się wyrwać z rąk prześladowcy. Ale daremnie. Wkrótce zebrała się prawie cała grupa uliczna dokoła nich, policyant wziął ich obu za kark i popchnął przed siebie; obok niego, klnąc łobuzów szedł poszkodowany gospodarz, a za nim ciekawy, hałaśliwy tłum uliczny.

— Na policję z nimi, do aresztu! Jeszcze dziś chcę protokół złożyć — naglił gospodarz.

Chłopcy szli machinalnie, prawie nie widząc ani słysząc, co się obok nich działo. Naczek wciąż jeszcze szlochał, a Władek gryzł wargi. A w około nich rozlegały się złorzeczenia i przekleństwa pobożnych kumoszek, grube docinki roboczego ludu i wrzaski ulicznej dziatwy.

— Mój Boże, takie jeszcze małe, a już takie zepsute! — wdychała jakaś staruszka, litościwie kiwając głową.

— A żeby ich i powiesili, toby nie szkoda było, kumo moja! — wykrzykiwał jakiś donośny głos pośrodku ulicy. — Bo to wy nie wiecie, ile ja się z nimi co dzień nagryzę, namęczę, ile ich się natłukę i nau-pominam, ale gdzie tam! Widać, że się to jedno z drugiem już pod taką złodziejską gwiazdą urodziło! Bogu dzięki, że ich teraz biorą, przynajmniej się kłopotu pozbędę.

Władek idąc przed policyantem obok swego brata, słyszał te słowa. Głos był mu znajomy, aż nadto dobrze znajomy — to była Wojciechowa. Wbrew swemu zwyczajowi tym razem chłopiec nic nie odpowiedział, ale zrównawszy się z nią i widząc, że na niego patrzy, pokazał jej język.

— O, widzicie go, złodziejskie nasienie! — wrzasnęła Wojciechowa. — Prowadzą go na karę, a ono jeszcze swych dyabelskich sztuk nie porzuca. Czekać, czekać, ty urwiszu, będziesz ty teraz wiedział, co to znaczy język komu pokazywać. Poznasz ty, do czego to twoje gałgaństwo prowadzi!

— Ale ten drugi wydaje się jakiś cichszy, spokojniejszy — rzekła jakaś dobroduszna kobiecina.

— Gdzie tam! — krzyknęła Wojciechowa — jeden jak drugi dla szubienicy rośnie! To z cicha pęk, ale ani o włos nie lepszy od tamtego. Gdzie jeden, tam i drugi. Nie, kumo, ja to ciągle powtarzam: co się pod złodziejską gwiazdą urodziło, to chyba szubienica naprawi!

Bracia nie słyszeli już tego surowego wyroku: w towarzystwie policyanta, poszkodowanego gospodarza i kilku świadków, podążyli do policyi.

Pantalacha.

I.

— No, Pantalacha — mówił z czeska po polsku, na pół płacziwym, a na pół drwiącym głosem dyrektor więzienia — czy ja ti ne powidał, żebys ty se ne porwał utikat! Widisz, co ti z teho przyszło! Dostałes patdesat kijów przed celym kryminalem, dostaniesz kajdanki i cely mesec kazenky, taj tylko! A tamteho panicze, co ty mu pomuhl utiknut, my jeho jeszcze zlowime, ne boj se! I teho sameho zakosztuje, co i ty!

— Ej, bacz, toho ne bude — rzekł spokojnie i stanowczo Pantalacha.

— Ne bude! — pisknął dyrektor, przyskakując ku niemu. — Jak ty mi smisz tak hadat? Ot kudu ty to wiesz, że ne bude? A ja ti powidam, że bude! Czekał tylko. Jeszte te z kazenki i w żelazach kažu wyprowadit na hof, abys se podiwal, jak ho budu soldati prat kijama. Ne boj se! My se ne przestraszyme, że on politycky wazen, że on welky pan i welky Polak! My mu pokażeme, że u nas je konstituce i równoprawnost: co Pantalacha dostał, to i Zemechowski dostane! Jak Buh nad nama — dostane!

Pantalacha nie nie odpowiadał — stał spokojnie u drzwi kancelaryi więziennej, z twarzą pochyloną ku

podłódze i z nieznacznym ironicznym uśmiechem, igrającym dokoła ust. Był to mężczyzna średniego wzrostu, krępy, lecz nadzwyczaj silnie zbudowany i muskularny, ubrany w zwykły aresztancki mundur, t. j. w kurtkę z grubego, siwego sukna, w takież pantalony i z taką czapką w rękę. Na nogach miał więzienne, duże i bezkształtne trzewiki. Twarz była ogolona i zaśniedziała „od murów więziennych“, włosy na głowie krótko ostrzyżone. Była to zwykła „złodziejska, kryminalska“ postać. Tylko w niewielkich czarnych oczach świeciły się iskierki wielkiej, niewyczerpanej energii, uporu i niezmordowanej, wciąż pracującej, chociaż ku niskim, zbrodniczym rzeczom zwróconej myśli, a około cienkich i kształtnie wykrojonych ust igrał na pół ironiczny, na pół figlarny, humorystyczny uśmiech.

Pan dyrektor przestał na chwilę perorować i pilnie, uważnie obejrzał postać stojącego przed nim złodzieja. Byli dawni znajomi: Pantalacha w krótkich odstępach czasu odsiadywał już — jak się sam wyrażał — „trzecią ratę“ po osiem lat za kradzieże, dokonywane nieraz z bajeczną zręcznością, ale też zwykle z dziecięcą prawie lekkomyślnością i z ostatecznym niedbalstwem o zatarcie śladów zbrodni, tak że po każdym takim czynie żandarmi prosto jak w dym szli do Pantalacha, który też ani myślał się wypierać, chwając się jedynie „sztuką“, z jaką czyn wykonał.

O tych jego sztukach cuda rozpowiadano po całym Podolu, które było polem jego popisów. Kraść dla samego zysku uważał za dyshonor dla swej profesyi. Szukał przygód, trudności, które każdego ordynarnego złodzieja odstraszyć by musiały. Koniokradztwem, które

tak popłaca na Podolu wskutek bliskości rosyjskiej granicy, nigdy się nie bawił — nigdy nie kradł koni ze stajni lub z pastwiska. Natomiast chwalił się sam, że „raz tylko w swem życiu splamił palce końskim ścierwem“, gdy ukradł pewnemu panu czwórkę z przed samego nosa — z karety na środku drogi. Upatrzył on swą ofiarę koło karczmy na popasie i widząc, że z tyłu do karety przywiązany jest rzemiennym pasem ciężki kufer, przeciął pas nożykiem i poszedł naprzód tą drogą, którą miała jechać kareta. I rzeczywiście kareta wkrótce nadjechała: pan wewnątrz, a na koźle fernal i lokaj. Gdy się kareta już miała wyrównać z Pantalachą, uderzyło tylne koło o kamień na drodze, pudło drgnęło gwałtownie, rzemień trzymający kufer pękł do reszty i kufer upadł na drogę.

— Panie, panie! — krzyknął Pantalacha, gdy powóz go mijał, a jadący w nim nie zauważyli zguby kufru — zgubiliście coś!

Powóz się zatrzymał. Lokaj zeskoczył i zobaczył, że to upadł kufer, dosyć ciężki i duży.

— Co za czort! — krzyknął fernal — Jak on mógł upaść? Przecieżem go uwiązał jak Bóg przykazał.

I zlął również, by obejrzeć rzemień. Pan tymczasem zaczął się gniewać, zżymać i napominać do pospiechu.

— Prędzej, bałwany, prędzej! — krzyczał. — Nie zawiązałeś rzemienia jak się należy i teraz ci się rozwiązał.

— Nie, proszę jaśnie pana — rzekł fernal, uchylając kapelusza — to rzemień pękł. Mówilem jaśnie panu, że trzeba nowego rzemienia. Pękł, jakby go przetrzął.

— No, to cóż będzie? — rzekł pan.

— Muszę zeszyć. Mam przy sobie wszystko, czego potrzeba. Idź Filku, przynieś kufer, ja w okamgnieniu będę gotów.

— A ty — krzyknął pan do Pantalacha — po-
trzymaj konie! Czego stoisz jak tuman! Widzisz, że
konie mucha tnie, nie chcą stać spokojnie.

— Służę jaśnie panu! — zawołał Pantalacha i po-
skoczył ku koniom. — Mój Boże! Ależ bo to się nie-
bożęta zaplątały! Tprrru! Stój, kosiu!

I jednym rzutem zrobił porządek: podpinał na-
szyjniki od dyszla, a potem obszedłszy do koła i uchwy-
ciwszy jedną ręką za lejce, drugą również szybko
poodpinał orczyki od sztelwagi, zarzucił je jednemu
z tylnych koni na grzbiet, sam usiadł na drugiego
i krzyknął:

— No, panie, jestem gotów! Bywajcie zdrowi!

Zanim pan i jego słudzy zdołali zrozumieć, co to
ma znaczyć, zanim zdołali krzyknąć należyte z po-
dziwu i przestachu, już Pantalacha z czwórką był da-
leko, a zanim słudzy dobiegli do karczmy i uprosili
u kogoś parę lichych szkap, by biedz w pogoń za zło-
dziejem, już złodzieja z kofmi śladu nie było. Tylko
w odległości jakiej pół mili znaleźli w rowie koło drogi
porzuconą uprząż prócz lejców i kantarków. Ani koni,
ani złodzieja pomimo najusilniejszych poszukiwań nie
wykryto. Dopiero później, przy rozprawie sądowej o cał-
kiem inną sprawę, pan ów, zasiadający między sędziami
przysięgłymi, poznał Pantalachę i tenże dobroduszenie
przynal się do swej „sztuki“.

Ale głównie dokazywał Pantalacha z żydami. Nie

było w okolicy bogatego karczmarza, kupca lub han-
dlarza, któryby kiedyś nie padł ofiarą jego przemysłu.
Wykraść z kantoru przyśrubowaną kasę wertheimowską,
wyciągnąć śpiącemu właścicielowi z pod poduszki pa-
czkę banknotów — takie i tym podobne sztuki nie były
dla Pantalacha niczem niezwykłym. Żaden zamek nie
oparł się jego rękóm. Jako fachowy i nadzwyczaj zdolny
ślusarz-samouczek miał poprostu pasyę do otwierania
zamek, dorabiania kluczy, wytrychów i tym podob-
nych narzędzi. Dotychczas opowiadają w Skalacie za-
bawną historię, jak żydzi tamtejsi po wyjściu Panta-
lacha z więzienia, za radą rabina wysłali do niego
deputację i ofiarowali mu miesięczną pensję 30 zlr.,
byle tylko żył sobie spokojnie i nie robił im szkody.
Przyjął Pantalacha ich propozycję i żył spokojnie coś
ze trzy miesiące. Wreszcie sprzykrzyło mu się porząd-
ne życie i raz przed targowym dniem jak się zabrał
w nocy na rynek, pootwierał wszystkie sklepy i kramy,
powybierał z lad wszystkie drobne pieniądze — mie-
dziane i srebrne i posiał po rynku. Można sobie wyo-
brazić, z jakim krzykiem i lamentem powitali żydzi
targowy dzień.

Wszystkie te historie znał dobrze dyrektor więzie-
nia i nie można zaprzeczyć, że czyniły mu one ponie-
kąd nawet sympatycznym tego nałogowego „majstra-
złodzieja“, który też zresztą zażywał w więzieniu
wielkiej popularności. Nie mógł się też dyrektor uskar-
żać na jego prowadzenie się w murach więzienia: ani
w kaźni, ani w „laborni“ Pantalacha nigdy breweryj
nie robił, przeciwnie, nawet między innymi aresztan-
tami porządek utrzymać umiał, a do wszelkiej roboty,

wymagającej zręczności i pomysłowości, był jedyny. Jedno tylko było nieszczęście — od czasu do czasu lubiał urządzić psikusa władzom, a przedewszystkiem — od czasu do czasu napadał na niego „gedz“ i wtenczas nic nie mogło go wstrzymać od ciągle ponawianych prób ucieczki.

Siedzi, siedzi spokojnie trzy, cztery lata i raptem jakiś bies w niego wstąpi, o niczem nie myśli, tylko o ucieczce. Czy prosić go, czy karać, czy do kaziienki zamykać — nic nie pomaga. Raz zbiegł z roboty polowej, do której okoliczni dzierżawcy najmują latem aresztantów — i od tego czasu nie puszczano go już na robotę. Wkrótce atoli zbiegł drugi raz, wmięszawszy się niepoznany między tych, co szli na robotę. Parę razy próbował przelazić przez mur okalający podwórze więzienne, raz spuścił się po stromej ścianie ze strychu na ulicę, a ostatnią razą w spółce z niejakim Ziemiechowskim, politycznym więźniem i właścicielem dóbr, uciekł przebrany za policyanta prosto przez bramę. Złapano go po dwóch miesiącach, aż na bukowińskiej granicy, Ziemiechowski zaś przepadł jak kamień w wodę. Z zeznań Pantalacha można było wnosić, że już dawno był za granicą, w Szwajcaryi lub Francyi. Tego było za dużo prokuratorowi i prócz zwykłych kar dyscyplinarnych, Pantalacha został skazany teraz na 50 kijów, które też właśnie odebrał. Wspominając te wszystkie kłopoty, jakie miał skutek jego manii do zniesienia, dyrektor rozżalił się i napół płaczącym głosem rzekł do niego:

— Bój se Boha, Pantalacha, co ty sobe myślisz! Kiedy ty dasz pokój temu utikaniu? Jużes jedenaste

razy utikal i co ti z tego przyszło? Ne lepiej to odsedet, co te przysudzeno i wyjt sobe spokojne? Masz jeszcze tego pół roku — prosim te, ne rob więcej hlupstw!

Błysnęły oczy u Pantalacha przy tych słowach, wyprostowała się jego skulona postać.

— Panie dyrektorze — rzekł spokojnie. — Pana rzecz mnie pilnować, a moja rzecz uciekać. Żebym miał tylko jeden dzień siedzieć, a dziś by mi się trafiła sposobność do ucieczki, to ucieknę. Taka to już moja natura.

Dyrektor ręce załamał.

— No słyszyte, co on mówi! — zwrócił się do stojących obok siebie policyantów i klucznika więziennego. — I takiemu człowiekowi ja tu mam dawat nauki moralne! Ja jemu swoje, a on mi swoje! Sluchaj Pantalacha, co ja ti jeszcze powim! My tu mamy nakaz od pana nadprokuratora: jak jeszcze raz budesz utikal, a zobaczymy te, to mamy prawo strilat do tebe, jak do psa. Rozumisz?

— Wiem o tem od dawna — rzekł spokojnie Pantalacha.

— No, ale ja myslim, że ti se już w tym pół roku ne trafi okazyja do utikani. Id że teper do kaźni i odpocznij po tich dzisiejszych kijach, a zejtra dostaniesz kajdanki i budesz musil przespacerowat se do kazenki.

Pantalacha uklonił się i wyszedł silnie ścisnąwszy usta na myśl o kaziencie. Za nim wyszedł klucznik.

II.

Chwilę szli milcząc długim, ciemnym kurytarzem, wreszcie klucznik zrównawszy się z Pantalacha, rzekł:

— Słuchaj, Pantalacha, a czujesz się bardzo słabym?

— Ja? Od czego? — zapytał od niechcienia Pantalacha.

— Od czego? Bagatela! Pięćdziesiąt kijów dostał i jeszcze się pyta, od czego.

— Kijów! — z pogardą wycedził Pantalacha. — Co mi to znaczy! Nie tyle ja już nieraz dostawałem i nie takich waszych cesarsko-królewskich kijów! Żeby to pan wiedział, co niejeden z naszej branży dostanie, gdy wpadnie w ręce takiej chłopskiej komisji, to wtenczas byś pan wiedział, co to znaczy „wytrzymać“. A to co? Niby mię pięćdziesiąt pcheł ukąsiło.

— Ej, Pantalacha, Pantalacha — rzekł z żalem klucznik. — Czy ty się nie boisz Boga, tak marnować swój wiek i swoje siły? Dał ci Bóg zdrowie, dał ci taki talent w rękach, że co oczyma zobaczysz, to rękami zrobisz, a tyś się puścił na kradzież, zamiast spokojnie na chleb zarabiać i Pana Boga chwalić!

Pantalacha długim, badawczym wejrzeniem zmierzzył klucznika od stóp do głowy. Był to jedyny klucznik więzienny, w którym ta „psia służba“ nie wytrawiła ludzkich uczuć. Surowy w pełnieniu swych obowiązków, po za ich sferą był ludzkim, miękkim i łagodnym jak dziecko, umiał widzieć w aresztancie człowieka równego sobie, nieraz zepsutego, ale częściej nieszczęśliwego. Aresztanci nie lubili go za to, że im

nie pobażał, że go nie można było podkupić, by patrzył przez palce na ich nocne pójatyki i gry w karty w kaźniach urządzone. Gdy miał nocną inspekcję, musieli wszyscy spać w porządku i ani wódki w pęcherzu nie przyniósł i przez wizytyrkę zapomocą rurki trzecinowej nie wlał, ani gry karcianej nie ścierpiał. Ale za to gdy inni klucznicy i policyjanci, może dla zamaskowania swych potajemnych pobaźliwości, za które kazali sobie aresztantom płacić, publicznie w obec władz traktowali aresztantów jak psów, bili po twarzy i nie odzywali się inaczej, jak „ty psie, złodzieju!“ to klucznik Sporysz obchodził się zawsze łagodnie i po ludzku, a gdy na którego aresztanta nasza tęsknota za swobodą, on go i pocieszył i list do domu napisał i wiadomość od krewnych przyniósł, jeżeli ich dyrektor do widzenia się z samym więźniem nie dopuścił. „Sporysz w służbie pies, a po za służbą człowiek“, taki był powszechny sąd więźniów o tym kluczniku, nie dziw więc, że większa ich część nie lubiała Sporysza, gdyż mieli aż nadto wiele sposobności wchodzić z nim w kolizje podczas służbowych godzin, a jego ludzkie przymioty tylko mało komu były dostępne i potrzebne. Mimo to jednak wszyscy wiedzieli, że Sporyszowi można zaufać, że w danym razie najgoręcej ujmie się za aresztantem i przed dyrektorem i przed prokuratorem i najłagodniej sędzi wszelkie drobne wykroczenia przeciw surowemu porządkowi domowemu więzienia, chociaż go w obec aresztantów sam surowo przestrzega. I Pantalacha znał nawszkroś Sporysza, dlatego też szczere słowa tego ostatniego nie oburzyły go ani nie

będzie. On tymczasem zawiązał tego guldena w papierek i dał mi go dla ciebie. Na, masz ten podarunek.

Byli właśnie u wejścia kurytarza więziennego. Klucznik wydobyl z kieszeni zwitek papierowy i rozwinawszy go, podał Pantalaszę dużą srebrną monetę.

— Papieru ci nie dam — dodał śmiejąc się Sporysz — bo papieru więźniom mieć nie wolno.

— Niech mu Bóg da zdrowie, temu panu za taki podarunek! — rzekł radośnie Pantalacha, chwytając z niezwykłą łapczywością srebrną, nieco zabrukana monetę i chowając ją do kieszeni. I panu daj Boże zdrowie, panie kluczniku, żeście byli tacy łaskawi dać mi ten darunek. Inny by pewnie zachował guldena dla siebie, a o biednym aresztancie ani by pomyślał.

— No, toby już nie ładnie było — rzekł z odcieniem dumy Sporysz. — A przytem, prawdę powiedziawszy, i ja skorzystałem przytem, bo mi ci panowie wczoraj za to zafundowali aż dwie halby piwa i zakąskę. A krzywdzić ciebie w taki ciężki dzień, nie, to byłoby całkiem nieładnie.

— Bóg zapłać panu! Bóg zapłać! — dziękował Pantalacha, który otrzymawszy owego guldena nagle niby całkiem się zmienił, ożył, jak gdyby sam nad sobą zapanować nie mógł. Mimo całego swego współczucia Sporysz, widząc tę zmianę z tak mizernego powodu nie mógł opędzić się myślom wcale niepoehlebnym dla Pantalachy.

— Ot, widać zaraz złodziejską żyłkę! — myślał pocziwy klucznik. — Skoro tylko ten nieszczęśliwy pieniądz jego ręki dotknie, zaraz jak gdyby dyabeł w niego wstąpił. No, tu daremne wszelkie upominania,

krzywego już nie naprostuje nic, chyba rydel i lopata. A szkoda człowieka!

Pantalacha tymczasem ni to szedł, ni to biegł kurytarzem o całe dwa kroki przed klucznikiem, oczywiście spieszo mu było do swej kaźni.

— A co, może ci co przynieść do jedzenia za te pieniądze? — zapytał Sporysz, odmykając kłódkę u drzwi kaźni.

— E, nie — rzekł Pantalacha — trzeba zostawić na później, na kazienną.

— I to racya — rzekł klucznik, wpuszczając go do kaźni i zamykając za nim drzwi.

— Dyabła zjesz, zanim mię w tej przeklętej kaziennicy zobaczysz — mruknął Pantalacha, słysząc kroki odchodzącego klucznika.

III.

Chwilę stał nieruchomy u drzwi, błąd, z zaciśniętymi ustami, wpatrując się gdzieś w nieokreśloną przestrzeń, z wyrazem jakiegoś wielkiego naprężenia na twarzy. Nagle jak waryat zaczął skakać po kaźni na jednej nodze, kręcić się w kółko, pocierać dłonie i przedrzeźniać to dyrektora, to klucznika, to samego siebie. Potem z wyrazem komicznej wściekłości przyskoczył do zdziwionego towarzysza swej celi, jedynego, który mógł w niej obok niego się pomieścić i chwyciłszy go za barki wstrząsnął nim gwałtownie i zawołał:

— Chłopcze, zjem cię!

— Tacyście głodni? — zapytał z niewinną miną towarzysz.

— Nie głodny, ale się cieszę! — odrzekł Pantalacha.

— Cieszycie się? A to czem?

— Tem, że ty masz osłe uszy.

— A może wy przypadkiem niespełna rozumu, nanaszku? — zapytał „chłopak“. Było to zwykle jego pytanie, gdy czegoś nie rozumiał.

— Ot dureń! — zaśmiał się Pantalacha. — Każdego po sobie sądzi.

— No, to czegoż się tak cieszyacie?

— Ciekawys wiedzieć?

— Ciekaw czy nie ciekaw, ale jeżeli mię już macie zjeść, to chcę przynajmniej wiedzieć, z jakiej przyczyny!

— Czy widzisz go! Nie dość prosięciu, że go rżną. Jeszcze się pyta, czy to jutro Wielkanoc!

Towarzysz wyrzeczył na Pantalachę swe duże, głupkowane oczy i siedział milcząc, jak gdyby myślał nad tem, do czego właściwie zmierzały te ostatnie słowa.

Był to dwudziestoletni parobczak, ale z postaci sądząc, można mu było dać zaledwie lat szesnaście — tak nikłą i mało rozwiniętą była jego postać, tak dziecięca twarz i tak mało inteligentny, wiecznie zdziwiony jej wyraz. Całkiem odpowiednio do powierzchowności rozwinięty był też jego umysł. Był to na pół idyota, niezdolny do żadnej pracy, wymagającej jakiegokolwiek naprężonej i wytrwałej czynności, lecz natomiast skłonny do gwałtownych wybuchów dzikiej na-

miętności lub do czynów całkiem bezmyślnego i bezprzyczynowego okrucieństwa. Taki właśnie czyn zaprowadził go do więzienia na całych dwadzieścia lat: pozostawiony sam w domu ze swym młodszym bratem, rozciął temuż we śnie głowę siekierą. Od tego czasu upłynęło już cztery lata, które „duny Prokop“ spędził w tej oto ciasnej kaźni, nie okazując ani tęsknoty za rodziną, ani chęci do pracy, lecz ciągle zajęty jakimiś dziecięcymi zabawkami. Nawet na spacer, na podwórze, trzeba go było przemocą wypychać — sam nigdy nie myślał o wychyleniu się ze swej na pół ciemnej nory.

Kaźnia, w której siedział Prokop, była najgorszą, najmniejszą i najniewygodniejszą w całym zakładzie. Położona w suterenie, w ciemnym kącie ogromnego budynku, tuż obok kuchni więziennej, osobiwie latem była duszną jak istne piekło, w zimie zaś jedna ściana była zwykle gorąca, trzy inne zaś mokre. Oświetlało ją tylko jedno małe okienko, wychodzące na północ, a ocienione z zachodu murem oficyny, tak że blask słoneczny od czasu zbudowania tej oficyny do tej nory nie zaglądał. Kaźnia ta służyła dawniej za skład naczyń kuchennych, ale kiedy zwiększono „sztrand“ areztów, wypróżniono i tę norę i wpakowano w nią Prokopa na stałe mieszkanie, „dopóki bestya nie zdechnie“, a prócz niego dawano zwykle na krótki pobyt takiego aresztanta, który za parę miesięcy miał już wychodzić na wolność — „niech i on zakosztuje piekła“. Obecnie jednak dano do niej Pantalachę z tego powodu, że kaźnia ta leżała w samym środku więzienia i najmniej przedstawiała szans do uciezki. Grube

na dwa łokcie mury, grubemi sztabami okute drzwi, wąskie o podwójnej kracie okienko, wychodzące na podwórze ze wszędy stron zamknięte murami budynków, za drzwiami kurytarz, po którym prócz klucznika całą noc chodził wojskowy patrol, a wewnątrz żadnych mebli prócz dwóch tapczanów i żelaznego pieca, opasanego grubemi żelaznemi sztabami w miejscu gdzie przylegały do siebie pojedyncze części, z których był złożony — oto całe otoczenie, rzeczywiście, bardzo mało zachęcające do ucieczki.

Pantałacha uspokoił się wreszcie i mruknąwszy coś sam do siebie, siadł na swym tapczanie, wy dobył chleb i sól i zaczął jeść z takim apetytem, jak gdyby nie wiedzieć jaką wykonał męczącą robotę, lub jak gdyby chciał nasycić się na kilka dni naprzód. Potem wy dobył z kieszeni owego srebrnego guldena i zaczął go pilnie oglądać na wszystkie strony. Oczy jego żywo zapłonęły radością i chociaż wcale nie należał do sentymentalnych natur, mimo to w porwywie uczucia podniósł monetę do ust i ucałował kilka razy bardzo serdecznie.

Blask srebra zwałił Prokopa.. Podniósł się ze swego kąta i zbliżył się do Pantałachy, stąpając zwolna, po cichu, jak czatujący kot. Oczy wytrzeszczył jeszcze bardziej niż zwykle.

— Co to macie, nanaszku? — zapytał szczerząc do Pantałachy swe duże, pożółkłe zęby. Każdy starszy człowiek był dla niego nanaszkiem tj. ojcem chrzestnym.

— Hroszi — odrzekł Pantałacha.

— A kto wam to dał?

— Święty Mikołaj.

— Święty Mikołaj? Hi, hi, hi! A za co?

— Jakto, to ty nie wiesz, że mnie dzisiaj panowie bili? To święty Mikołaj przyszedł i powiada: no, no, Pantałacha, nie płacz, nieboże i nie bój się niczego. Na masz ten pieniądz, on cię wyprowadzi z tego areztu na wolność.

— Oj, oj, tak wam powiedział?

— A ty myślał, że jak?

Prokop stał z rozdziawioną gębą obok siedzącego Pantałachy i nie spuszczał z oczu srebrnego guldena, który pilnie na wszystkie strony obracał w ręce, przypatrując mu się oczywiście z wielką ciekawością.

— Wiecie co, nanaszku? — rzekł wreszcie nieśmiało Prokop.

— A co takiego?

— Dajcie mnie ten pieniądz.

— A tobie, durniu, na co?

— To takie ładne, będę się nim bawić.

— Ot dureń. Czyś nie słyszał, że to nie dla zabawy, ale na to, żeby się dostać z więzienia na wolność.

— T-a-k? — rzekł z wyrazem rozczarowania Prokop.

— A może i ty chcesz wyjść stąd na wolność?

— Na wolność? Co to znaczy na wolność?

— No, do domu, durniu, do swego ojca, czy kto tam u ciebie jest.

— Do domu? — zawołał Prokop z wyrazem przestachu. — Nie, nie chcę do domu. Tam mnie będą bić!

— No, nie chcesz, to nie chcesz, to i siedź sobie

tutaj kamieniem! — rzekł Pantalacha i zaczął powoli dlubać sztydłem w guldenie. Nie długo też dlubał. Po chwili bowiem srebrna moneta pod naciskiem sztydła rozkłuła się na dwie połowy, jak pudełeczko, a w jej wydrążonym wnętrzu ukazała się zwinięta w kółko, cieniutka jak włos angielska pileczka do rżnięcia żelaza.

— O dla Boga! — zawołał Prokop, który pilnie przypatrywał się tej manipulacji. — A to co takiego?

— Cicho bądź! — rzekł doń surowo Pantalacha. — Czyś nie słyszał, że to dar od świętego Mikołaja.

— Aha! — rzekł po cichu zupełnie przekonany Prokop. — A to co w nim we środku?

— To takie ziele, kluczowe ziele się nazywa. Słyszałeś kiedy o takim ziele?

— Słyszałem. A cóż to za ziele?

— Mówiłem ci, że kluczowe. Jak się niem dotknąć zamku, to nie trzeba i klucza, każdy zamek się otworzy. Można niem rozkroić żelazo, tak jak się chleb nożem kraje.

— Joj! — zawołał Prokop zdziwiony, a potem uśmiechając się rzekł. — Ano, nanaszku, rozkróćcie ten piec!

— A ty myślisz, że nie rozkróję? Czekaj tylko, niech noc zapadnie.

— Hi, hi, hi! To będzie ciekawa rzecz! — radował się Prokop. — Ja jeszcze nie widział, jak piec kraja.

Tymczasem Pantalacha wyjął piłkę z tego oryginalnego futerału i odwróciwszy czemś uwagę Prokopa w inną stronę, w momencie wepchnął ją w szparkę swego tapczana.

— Poczciwy Zamiechowski — wyszeptał. — Przecież nie zapomniał o mnie! Niech mu Bóg za zdrowie! Ciekawym tylko co to byli za panowie, co tak chytrze wywiedli w pole tego poczciwca Sporysza.

— Co wy takiego mruczycie, nanaszku? — zapytał Prokop znowu zwracając się do niego.

— Mówię Ojczenasz do świętego Mikołaja za ten wielki dar. Słuchaj, Prokopie — dodał po chwili Pantalacha, igrając w dłoni obiema połówkami wydrążonego guldena — chcesz mieć to?

— Chcę! — radośnie zawołał Prokop.

— A zrobisz to, co ci powiem?

— Zrobię.

— Więc słuchaj! Przedewszystkiem musisz o wszystkim, co tu widzisz — milczeć jak pień. Rozumiesz?

— Rozumiem. Milczeć.

— To znaczy — nikomu ani słowa nie mówić: ani kucharzowi, ani Sporyszowi, ani nikomu. Wiesz?

— Wiem.

— A w nocy masz spać, choćby się tu w kaźni nie wiedzieć co działo.

— Dobrze! Będę spać!

— A jeżelibyś się zbudził i słyszał co, albo widział, to nikomu nic nie gadaj. Powiedz: ja nie wiem, ja spał, niczego nie widział. Rozumiesz?

— Rozumiem! Nie widziałem.

— Pamiętaj sobie. Jakbyś tylko słowo powiedział, to ja przyjdę, wyciągnę cię z pościeli i zataszczę cię prosto do twego domu.

— Nie, nie chcę do domu! — krzyknął Prokop, — tam mię będą bić. Wolę tu siedzieć i milczeć.

— Dobrze, ładnie! — rzekł Pantalacha i pogłaskał go po rozczochranej głowie. — Siedz i milcz, choćby się ciebie nie wiedzieć o co pytali. Zawsze mów: nie wiem, nie widziałem, nie słyszałem niczego. A jak się tak będziesz sprawował, to dostaniesz to!

I Pantalacha mignął przed zdumionemi oczyma Prokopa błyszczącą srebrną powierzchnią wewnętrznego wyźłobienia obu połówek guldena.

— Dajcie, dajcie! — błagał omal że nie ze łzami w oczach Prokop, wyciągnawszy obie ręce do świecidelka.

— O, tybyś chciał zaraz! — rzekł Pantalacha. — Jeszcze nie zasłużył. Sprawuj się tej nocy dobrze, spij twardo, a jutro rano skoro wstaniesz — zajrzej pod poduszkę, to tam znajdziesz ten podarunek. Rozumiesz?

— Rozumiem! Aj, aj, aj! Jutro! Toż to będzie ładnie! — zawołał Prokop, klaszcząc w dłonie.

Tymczasem Pantalacha wstał, zbliżył się ku ścianie, podskoczył i uchwycił się obiema rękoma krat okiennych, a potem na rękach podniósł się w górę, dopóki nie dotknął kraty twarzą. Chciał wiedzieć, czy rychło będzie wieczór. Cienie od przylegającej oficyny zakryły już całe podwórze, oczywiście wieczór bliski, chociaż jeszcze zmrok nie zapadł. A że to było gdzieś w połowie jesieni, więc Pantalacha w jednej chwili zmiarkował, że nie musi być dalej jak siódma godzina.

— Za godzinę będą zamykać — rzekł sam do siebie — a więc mam jeszcze godzinę czasu. To może i wystarczy.

Potem zeskoczył na podłogę i poszedł ku drzwiom.

Przyłożył nasamprzód oczy, potem ucho do otwartej wizytyrki — na kurytarzu cicho, tylko gdzieś daleko, na końcu kurytarza słychać głos klucznika, który rozmawia coś z żołnierzem, stojącym na warcie.

— Aha, siedzą obaj na pace! — mruknął Pantalacha. — To dobrze. Dziś na moje szczęście Sporysz ma nocną służbę, a on jak się rozbałaka z wieczora, to już bałaka całą noc. A dziś mają o czem bałakać — dodał z przekąsem, — bestye! Moimi kijami geby sobie płuczą! Ale czekajcie, pokażę ja wam, co Pantalacha umie. Ot by warto być tu jutro rano i widzieć te miny, jakie wszyscy zrobią, gdy przyjdą do kaźni: dureń jest, a mądrego dyabli wzięli!

Zaśmiał się krótkim, bezgłośnym, piersiowym śmiechem, a potem odszedłszy ode drzwi, polazł prosto pod tapczan i zaczął tam za czemś szperać i drapać po podłodze, po kobylnicach, na których leżały deski tapczanu i po szparach w samej ścianie, gdzie tynk popekał i podstawał od cegieł.

— A wy czego tam szukacie, nanaszku? — nie wychodząc z podziwu zapytał Prokop.

— Tego, czegoś ty nie zgubił — odrzekł zagryzając wargi Pantalacha.

— Powiedzcie, powiedzcie! — błagał uparcie Prokop.

— A tyś już zapomniał, com ci mówił przed chwilą? — rzekł Pantalacha.

— Co takiego? — zdziwiony zapytał Prokop.

— A to, że masz milczeć, jeżeli chcesz to dostać!

— Aha! — rzekł Prokop, uderzywszy się dłonią w usta. — Milczę już, milczę!

I nie spuszczać oczu z Pantalacha, biedny idyota usiadł skulony na swym tapczanie, męczony z jednej strony ciekawością, a z drugiej żądzą otrzymania świecidełka.

Od chwili, gdy go złapano i wsadzono do tej kaźni, Pantalacha już zaczął myśleć o nowej ucieczce, i nie zadowolniając się samem myśleniem, zaczął zbierać i chować w swej nowej kaźni wszystko, co w jakikolwiek bądź sposób mogło mu się przydać do wykonania tej myśli. Aresztanci znali jego naturę, widzieli też, czem mu się najlepiej przysłużyć.

Gdy więc który z tych, co chodzili na robotę „na świat“, znalazł jaki kawałek żelaza, drutu lub blachy i mógł niepostrzeżenie ukryć to przy sobie, niósł wszystko Pantalasze. Z takich kawałków fabrykował dla całego kryminału szydła, noże i scyzoryki, a co mu się wydawało przydatnem, chował dla siebie. W chowaniu był mistrzem, i mimo częstych w jego kaźni rewizyj nigdy prawie nie można było w niej nic znaleźć.

Nie dziw więc, że w ciągu swego dwutygodniowego pobytu w tej kaźni miał w jemu tylko znanych kryjówkach kawałki różnego żelaziwa, które też obecnie powydobywał i rozłożywszy na tapczanie, zaczął przegłądać okiem wytrawnego majstra, miarkując, co może mu być przydatnem dla sporządzenia odpowiedniej oprawy dla piłki. Wybrał wreszcie dość grubą i silną sztabkę żelazną, którą włożywszy między żelazny piec i opasującą go sztabę i natężywszy całą swą siłę, zdołał nieco zgiąć w połowie, tak że utworzyła mały łuk. Cięciwą tego łuku miała być piłka,

którą zapomocą silnych a cienkich mosiężnych drutów przymocował do obu końców sztabki. Po całogodzinnej usilnej pracy piłka była gotowa i Pantalacha spojrzął na swe dzieło z wyrazem nieopisanej dumy i radości. Ten malutki, bezkształtny, naprędeć sklecony przedmiot miał się stać dla niego kluczem wolności. O, byle tylko ten raz się stąd wydobyć! Teraz go już za nic w świecie nie złapią! Teraz ma zapewnione takie drogi i kryjówki, że wszystko pójdzie dobrze! Byle tylko na wolność!

Gdy piłka była gotową, rzucił okiem po kaźni, patrząc, gdzieby ją ukryć. A nuż klucznik wieczór przed zamknięciem drzwi zechce zrobić w kaźni rewizję, jak się to dość często zdarzało. Uśmiechnął się, zobaczywszy na framudze u okna pół bochenka chleba własność Prokopa. Błogosławiony ten dureń, bo nawet bochenka chleba przez dzień zjeść nie potrafi! Wziął więc chleb z framugi i zaczął go uważnie oglądać.

— To mój chleb! — pisał nieśmiało Prokop.

— Milcz osłe, przecież ci chleba nie zjem — rzekł ostro Pantalacha, rozkroił chleb w poprzek przez miękisz, nie krając skórki i wetknął swą piłkę, a następnie ścisnął chleb tak, że patrząc zdaleka nikt nie byłby dojrzał, iż chleb był w taki sposób krajany.

— Widzisz, co robię? — zapytał Pantalacha Prokopa, pożerał oczyma każdy jego ruch.

— Widzę — szepnął tenże.

— A wiesz, co ty masz pobić?

— Nie wiem.

— Ile razy mam ci to powtarzać? — szepnął surowo Pantalacha. — Masz milczeć, słyszysz?

— Słyszę! Będę milczał.

Po chwili wszedł klucznik z lampą w jednej a pekiem kluczków w drugiej ręce, obejrzał dokoła piec, tapczany, miejsce po pod tapczanami, framugę u okna, popatrzył w górę ku oknu, na sufit, jeszcze raz rzucił oczyma na podłogę, i życząc aresztantom dobrej nocy zaczął u drzwi zgrzytać kluczami, zamykając je na potrójne zamki. Pantalacha zaś po jego wyjściu uśmiechnął się radośnie, potarł ręce i skoczył ku framudze, by się przekonać, czy dosyć jeszcze pozostało mu od wczoraj masła, niezbędnie potrzebnego przy rżnięciu żelaza dla smarowania piłki, by przez to mniej wyraźnem uczynić jej zgrzytanie i piszczenie. Bogu dzięki, masła było aż nadto. Wszystko składa się pomyślnie.

— A teraz Prokopie, pójdziemy spać — rzekł po chwili. — I pamiętaj sobie, com ci nakazywał: masz mi przez całą noc spać jak zabity. Żeby tu jasne pioruny były — nie powinieneś nic a nic słyszeć. Czy może będziesz jeszcze co jadł?

— A mogę jeść?

— Możesz.

— A... a przecież tam w moim chlebie wasze kluczowe ziele. A nuż zjem i pękne! — rzekł Prokop z wyrazem nieudanej twrogi na swej dziecięcej twarzy.

— Tfu! — zawołał Pantalacha. — Przecieżeś nie z żelaza. To tylko żelazo pęka od tego ziele. Czekaaj, zaraz je wyjmę. Na, teraz możesz jeść spokojnie.

Podczas gdy Prokop jadł, zwolna gryząc chleb i żując go niedoleżnemi szczękami, Pantalacha nie rozbiegając się rzucił się na swój tapczan, by przespać się parę godzin i nabrać sił do pracy, która go cze-

kała. Wkrótce też, najadłszy się, twardym snem zasnął i Prokop.

IV.

Właśnie wybiła jedenasta. Klucznik Sporysz nagawędziwszy się do syta z patrolującym żołnierzem, przeszedł wzdłuż kurytarza, posłuchał, czy spokojnie spią aresztanci w celach, a przekonawszy się, że wszystko w porządku, usiadł znowu w samym końcu kurytarza na dużej pace i zaczął drzemać.

Na tejsze pace siedział też w głębokiej zadumie, więcej podobnej do drzemki, niż do filozoficznego zamyslenia, oparty na karabinie żołnierz. Patrol w kurytarzu więziennym należała do najmniej męczących. Zaprowadzono ją dopiero od lat kilku, na wypadek buntu. Ale obecnie o buncie w murach więzienia nie było ani słyhu, nie dziw więc, że komenderujący firer pazwalał żołnierzom w razie zmęczenia przedrzemać się w kurytarzu, byle tylko karabina z rąk nie wypuszczać.

Czy długo, czy krótko drzemał klucznik Sporysz — tego nie wiedział. Zdawało mu się, że nie trwało to i pięciu minut, chociaż w rzeczywistości minęła dobra godzina. Zerwał się naraz na równe nogi, stuknąwszy przytem butami głośno o podłogę i przetarł oczy. Co to było? Czy to we śnie, czy na jawie słyszał jakiś dźwięk niezwykły, ostry, niby lekkie peryodyczne, chrapliwe gwizdanie, niby warczenie cienkiego kółka jakiejś maszyny, lub chrapanie jakiejś śpiącej, ale nie ludzkiej istoty? Hrr, hrr, hrr! Sporysz nie wiedział,

skąd i jak dolatywał do niego ten dźwięk, co mógł znaczyć, jak długo trwał przed jego przebudzeniem. Czuł tylko jakąś niejasną trwogę w swem wnętrzu. Stanął więc, wyteżywszy słuch i przechyliwszy się naprzód wierzchnią częścią korpusu — słuchał. Nic nie słychać, żadnego szmeru, żadnego ruchu.

— Sen mara, Bóg wiara! — szepnął Sporysz i przeżegnał się, a potem stąpając na palcach i starając się nie zrobić żadnego stuku swymi ciężkimi butami, poszedł wzdłuż kurytarza. Stawał u drzwi każdej kaźni, nachylał ucho i słuchał. Nic nie słychać, prócz przeciągłego, równego sapania śpiących aresztantów. Gdzieś tam ten lub ów chrapanie — ale to dźwięk całkiem inny, niż ten, jaki doszedł do jego uszu we śnie. Zatrzymał się w połowie kurytarza i stał długo, z dziesięć minut, nieruchomy i milczący, czekając, czy nie powtórzy się dźwięk tajemniczy. Ale nie, dźwięk się nie powtórzył, tylko z kąta, w którym drzemał przed chwilą, rozległo się rozgłośnie, gwiżdżące chrapanie żołnierza, który trzymając obręcz przyciśnięty ku sobie karabin, głowę odrzucił w tył, oparł o ścianę i spał z szeroko otwartymi i do sufitu zwróconymi ustami.

— A, tak! — rzekł Sporysz, czując się znacznie uspokojonym, gdy posłyszał to chrapanie — więc to było źródło owych dźwięków! A ja głupi myślałem już, że to może Bóg wie co takiego! Tfu na ciebie!

I Sporysz powolnym, głośnym krokiem wrócił na swe miejsce, obrócił śpiącego żołnierza na bok, tak żeby mu nie chrapał nad uchem, a następnie czując, że go sen morzy, pochylił się głową również ku ścianie

i szepejąc coś — czy to modlitwę, czy zlorzeczenia temu, co go tak nie w porę zbudził i przestraszał — zasnął po kilku minutach.

I znowu minęła dobra godzina. Sporysz spał twardo, ale niespokojnie, rzucał we śnie to rękoma, to nogami, ruszał wąsami jak śpiący pies, któremu nie dają spokoju natrętne muchy, bełkotał nawet przez sen jakieś niezrozumiałe słowa, sapał, oddychał ciężko, jak gdyby go coś dusiło, ale się nie budził. Wreszcie z widocznym nateżeniem, cały potem zlany, zerwał się i usiadł na pace.

— Hrr, hrr, hrr! — to był pierwszy dźwięk, który się obił o jego uszy.

Obejrzał się na żołnierza, który spał wciąż jeszcze na boku — nie, żołnierz nie chrapał. Przetarł oczy, uszczypnął się w twarz, aż mu łzy w oczach stanęły.

— Hrr, hrr, hrr! — rozlega się wciąż z ciemnej otchłani kurytarza. To już nie chrapanie śpiącego, nie! To całkiem inny dźwięk, bardziej drażniący słuch, bardziej metalowy. Co to może być? Cichuteńko spuścił się na podłogę, stanął bez stuku — harczenie wciąż słychać. Postąpił krok, drugi — jeszcze słychać. Rozlega się wyraźnie, piskliwie, w przyspieszonym tempie, tylko nie wiedzieć, z której kaźni. Jeszcze krok zrobił z największą ostrożnością — cóż to? Harczenie zamilkło. Cicho jak cień posunął się klucznik wzdłuż kurytarza, od kaźni do kaźni, od drzwi do drzwi, co parę kroków stając, nad słuchując ze wstrzymanym w sobie oddechem — cicho i martwo, nie słychać ani najmniejszego poruszenia, prócz miarowego, równego oddechu śpiących aresztantów.

Niby duch bezcielesny z wyrazem największego nateżenia na twarzy, przeszedł klucznik cały kurytarz od końca do końca — nigdzie nic nie słychać, wszędzie — en, wszędzie spokój.

Ha, to chyba jakaś nieczysta siła kpi sobie ze mnie! — mruknął klucznik. — W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen! Zgiń, przepadnij, duchu przelety

-- Hrrr, hrrr, hrrr! — rozległo się naraz z głębi kurytarza — tak dobitnie i wyraźnie, że klucznik omal nie padł na miejscu zemdłony ze strachu. Zbladł cały, jak trup, lecz gdy po chwili się opamiętał i twarzą zwrócił się w tę stronę, harczenie już ustało i najgłębsza cisza znowu zapanowała w ciemnej czeluści kurytarza.

— W tem coś musi być! — rzekł półgłosem klucznik i jeszcze raz rozpoczął swój obchód od drzwi do drzwi, nad słuchując, łowiąc uchem i rozróżniając każdy najmniejszy szmer. O, rozpacz! Znowu nic podejrzanego posłyszeć nie mógł. Mimo to nie tracił nadziei, szedł coraz dalej, a doszedłszy do końca kurytarza, wrócił napowrót, stanął obok jednej ze środkowych cel i dągo tak stał nieruchomy, wyteżony, czy nie powtóry się znowu tajemnicze harczenie. Ale nie, nie nie słychać!

W dalszym śnie nie było już i mowy — przeciwnie klucznik robił sobie gorzkie wyrzuty, że za pierwszy razem dał się oszukać tej pozornej ciszy i kto wie czy nie opuścił już stosownej chwili. Mimo to czekał, nad słuchiwał dalej. Parę razy zdawało mu się, że

słyszysz znowu to samo harczenie, drżał cały z jakiejś niewyjaśnionej trwogi, ale potem przekonywał się, że to było złudzenie jego rozdrażnionego długiem nateżeniem słuchu. W takim stanie każdy najmniejszy szelest, oddech śpiącego aresztanta, ruch myszy przebiegającej poprzek kurytarza, przypadkowy stuk trzewika, straconego nogą sennego aresztanta z tapczana na podłogę — wszystkie te zwykłe dźwięki i szelesty więzienia, w którego murach spi mnóstwo ludzi i do których on dawna miał sposobność przywyknąć, teraz wydawały mu się jakimś potężnym łoskotem, krokami skradających się do ucieczki zbójców, przyciszoną pracą około wyłamywania krat lub barykadowania cel więziennych.

Były chwile, w których biedny klucznik omal nie na pewno oczekiwał, że w najbliższej sekundzie całe więzienie ryknie okropnym krzykiem, rozlegnie się łomot i łoskot walonych murów, huk wystrzałów, grad przekleństw i złorzeczeń i wszystko to, całe piekło okropności spadnie na jego biedną głowę, na jego odpowiedzialność. Lecz mijała chwila za chwilą, więzienie drzemało spokojnie w powiciu nocnej ciemności, tylko lampy wśród nawisłych cieni kurytarza mrugały niespokojnie, a w przeciwnym końcu, na pace było słychać zdrowe, regularne chrapanie żołnierza, który spał w siedzącej postawie, oparty plecyma o mur a rękoma o karabin, na którego łufie też oparł swój podbródek.

— Czyż miałoby mi się to wszystko przysłyszeć? Miałoby to być snem? — zapytał sam siebie klucznik po długiem, daremnie oczekiwaniu i już chciał swym

zwykłym ciężkim krokiem udać się ku pace, gdy wtem niby piorun z jasnego nieba, tuż za jego plecyma, w jednej ze środkowych cel rozległ się rzczywiście okropny, ogłuszający łoskot, niby na żelazną podłogę spadł grad ogromnych kamieni. Klucznik zastygł na miejscu, zdrętwiał i nie mógł się ruszyć. Chwilę było cicho jak w grobie, lecz potem rozległ się drugi stuk, jak gdyby dużym żelaznym kotłem uderzono o drzewo a przytem bręczano kajdanami.

— Duch święty przy mnie! — zawołał klucznik i przeżegnał się. Tym razem nie był to już sen, nie było przewidzenie, bo i żołnierz na pace zbudził się i już stał wyprostowany z karabinem na „prezentirt“ chociaż bez świadomości, co się z nim dzieje i z zamkniętymi oczyma, które przez parę chwil napróżno usi łował otworzyć. Co tchu obrócił się klucznik, by dojść skąd pochodzą te dziwne głosy i w tej samej chwili wszystko stało się mu jasnym.

— To Pantalacha! — krzyknął i uderzył się dłonią w czoło. — To ten przeklęty złodziej znowu jakąś sztukę wymyślił.

I nie czekając już na nikogo więcej, klucznik rzucił się ku celi, w której siedział Pantalacha. Po drodze chwycił jedną z latarni wiszących na kolkach kurytara. Odemknął drzwi z łoskotem i wpadł do celi. Niezwykły widok przedstawił się jego oczom. Na środku celi leżała wywrócona do góry spodem wierzchnia połowa żelaznego pieca, zaokrąglona u góry na kształt dużego kotła; obok niej klęczał durny Prokop, trzymając w każdej ręce po kawałku żelaznej obręczy,

którą okuty był piec w spojeniu. Dolna połowa pieca przedstawiała ciemną, otwartą paszczę. Pantalacha nie było w celi. Klucznik osłupiał.

— A ty drabie co tu robisz? — wrzasnął do Prokopa.

— Ja... ja... ja — wyjąkał Prokop wytrzeszczywszy na niego swe duże, zdziwione oczy i szeroko rozdziawwszy gębę, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale w tejże chwili przypomniał sobie surowy nakaz Pantalacha i rzekł krótko: — Ja nie wiem.

— Jakto nie wiesz? A skąd się to tu wzięło? — klucznik wskazał na żelazne przedmioty, leżące na podłodze.

— Ja nie wiem — rzekł Prokop.

— A gdzie Pantalacha?

— Ja nie wiem — brzmiała odpowiedź.

— Kłamiesz drabie! — wrzasnął klucznik — musiałeś widzieć, gdzie on się podział.

— Nie, nie widziałem. Spałem.

— Spałeś? A cóż tutaj robisz na środku kaźni?

— Ja... chcę spać — odrzekł Prokop i wstawszy leniwo położył się na swym tapczanie i zamknął oczy.

Klucznik bliskim był szaleństwa. Mało brakowało, że się nie rzucił na Prokopa i nie dał mu w całej pełni pokosztować siły swych kulałów i twardości kluczów, których cały pęk trzymał w ręce. Lecz po chwili ochłonął. Co z durniem gadać? I co on może wiedzieć? Przecież Pantalacha, gdy się zbierał uciekać, nie mówił mu, którędy i jak myśli uciekać. Zresztą co tu było długo badać? Rozerżnięty i rozbity piec

wyraźnie wskazywał jedną jedyną drogę, którą mógł uciec Pantalacha. Drzwiczki od pieca wychodziły na kurytarz i były zewnątrz zamknięte. Rzecz oczywista, że nim nie mógł Pantalacha wydobyć się na wolność. Z pieca musiał wleść do komina, a kominem wydrapać się na dach. Bez kwestyi z dachu dwupiętrowego budynku zleść na dół, a jeszcze do tego na ulicę, była sztuka nie lada, ale taki szalenie śmiały, zręczny i pomysłowy złodziej jak Pantalacha czego też nie dokona! Klucznik też odrazu zmiarkował, co ma czynić. Zanim wypadł z celi, spojrział jeszcze na łóżko Pantalacha — prześcieradła nie było. Spojrzął na łóżko Prokopa — prześcieradła również ani śladu.

— O, to chytry ptaszek! — mruknął klucznik. — Trzeba się spieszyć, żeby nam całkiem nie wyleciał.

I klucznik piorunem wypadł z kaźni, zamknął ją na kłódkę, a potem poleciał do znajdującej się tuż obok u wejścia budynku wartowni żołnierskiej, gdzie prócz dyżurnego kaprała wszyscy żołnierze spali w najlepszym.

— Aresztant uciekł. Patrol! — zawołał klucznik i wszyscy żołnierze pozrywali się ze swych legowisk i chwycili za broń.

— Którędy uciekł? — zapytał spokojnie kapral.

— Kominem na dach.

— No, to nic, będzie nasz, — rzekł kapral, i obracając się do swych żołnierzy, zawołał ostro:

— Wache, habt acht!

Żołnierze już stali pod bronią w szeregu.

— Połowa pójdzie schodami na dach z panem

klucznikiem, a ja z drugą połową obstawię budynek. Jeżeli już nie uciekł, to teraz pewnie nie ucieknie. Vorwärts, marsch!

V.

Gdy Pantalacha, porozrzynawszy sztaby opasujące piec, w największej cichości zdjął wierzchnią część pieca i postawił na podłodze, a potem wlaź do pieca, a z pieca do komina, gdy z wielkiem nateżeniem wdrapał się kominem na sam wierzch, spotkał tam niespodzianą przeszkodę. Komin był kryty z wierzchu murywanym daszkiem, opartym na czterech sztorcem stojących ceglach. By wyleść na dach, trzeba było koniecznie wyjąć jedną taką cegłę. Z największą ostrożnością uczynił to Pantalacha, starając się, by ani kawałek tynku nie upadł kominem na dół. Zdawało się, że daszek może jakiś czas stać i na trzech ceglach. Uzyskany otworem wylazł Pantalacha z komina, lecz rzecz to była wcale nie łatwa. Uchwyciwszy się obiema rękami za róg komina, wydobywał z wewnątrz nogi. Już był prawie gotów, gdy w tem z nienacka zaczął piętą o jedną z cegieł, podpierających daszek. Potrącona cegła wypadła i daszek kominowy z głuchym łoskotem runął w dół do wnętrza komina. To był ten okrutny łoskot, który tak przeraził klucznika i zbudził też w kaźni Prokopa. Prokop zerwał się od razu na równe nogi, nieprzytomny rzucił się na środek kaźni i przewrócił stojący tam wierzch pieca, narobiwszy przytem brzęku strąconemi z tapeczana kawałami sztab,

które poodrzynał i poskładał w porządku Pantalacha.

— Zginałem! — rzekł Pantalacha, stojąc obok komina i słuchając dudnienia spadających cegieł. W głosie jego slychać było tylko głuchą rezygnacyę — nie więcej, ani żalu, ani trwogi. Mimo to jednak nie stał długo na miejscu. Zdradziecki łoskot nie zla- mał jego energii, nie zmienił planu.

— Teraz, albo nigdy! — zawołał z dziką odwagą i rzucił się biegnąc wzdłuż dachu aż do tego miejsca, gdzie oficyna ślepy murem ogniowym wychodziła na jedną z bocznych uliczek. To była jedyna droga prowadząca do wolności, ale co prawda, droga ogromnie stroma i niebezpieczna. Mimo to jednak Pantalacha nie zawahał się ani na chwilę. Po lekkiej pochyłości blaszanego dachu zbiegł na samą krawędź, by zobaczyć, gdzie się znajduje rura, prowadząca na dół od rynny. Znalazłszy ją, położył się w tem miejscu plazem na dachu twarzą na dół i zmierzył oczyma, jak daleko znajdowała się ta rura od muru, okalającego w tem miejscu podwórze więzienne i przedzielającego je od wolnego świata. Przekleństwo! rynna odległa była od muru prawie na dwa sążnie. Ale Pantalacha wiedział, że tuż pod oknami pierwszego piętra wzdłuż całego budynku szedł szeroki gzyms. Tym gzymsem można będzie od rynny przejść na mur, a z muru już jakoś wy dostać się na ulicę. By nie potrzebować skakać, Pantalacha wziął z kaźni dwa prześcieradła, na których można się będzie wygodnie spuścić z wysokiego muru.

I nie wahając się długo, nie tracąc ani chwili czasu, Pantalacha przeżegnał się i obróciwszy się twa-

rzą ku dachowi, wychylił nogi nad zięjącą dwupiętrową przepaścią i zaczął z wolna, ostrożnie zesuwać się w nią, zawisając całym korpusem w powietrzu. Ani cienia niepewności nie było w żadnym jego ruchu, nie zadrdzał ani razu, zdawało się, że był lunatykiem, który zupełnie nie czuje ogromu niebezpieczeństwa, w którym się znajduje.

Lecz nagle zatrzymał się, oparty łokciami o rynnę, a obiema dłońmi jak kleszczami trzymając się wąziutkich kantów cynkowej blachy, gdzie jeden jej arkusz był spojony z drugim. Dolna część jego ciała swobodnie wisiała już w powietrzu. Lecz cóż to było? Czy przysłyszało mu się, czy rzeczywiście slysział tuż pod sobą, na strychu stuk liczných kroków i zmieszane grube głosy ludzkie? Miałażby to być pogoń? Pantalacha strętwiał na chwilę, ale prędko się zdecydował. Zanim znajdą drabinę, zanim wleżą w okienko i wygramolą się na dach, już jego tu nie będzie. Dyabła zjedzą, jeżeli go zobaczą. A więc czem prędzej na dół, byle się dostać na rynnę! Tam już wszystko jakoś pójdzie. Ale w tej samej chwili zdało mu się, że potężne uderzenie pałką w głowę odbiera mu wszelką siłę i przytomność. Tam w dole na podwórzu slychać było łoskot równie liczných kroków, prędkie bieganie i nawoływanie. Wreszcie tuż pod sobą uslysział Pantalacha złowrogi radosny krzyk żołnierza:

— Jest, jest! Widzicie, ot tam, z dachu się zwiesił, chce się spuszczać po rynnie!

— Jest, jest, jest! — wołało coraz więcej głosów na dole.

— Stój tam, ani się rusz! krzyknął grzmiącym głosem do Pantalacha kapral.

— Myślisz — odpowiedział mu tak samo Pantalacha — że mnie tu tak łatwo stać, jak tobie tam na ziemi, durniu, jeden!

A więc wszystko przepadło! Teraz już ani myśleć było o ucieczce, kiedy ci tam w dole go spostrzegli. Teraz dopiero zadrżał Pantalacha, nie z trwogi o to, co z nim będzie, ale z żalu za udaremnieniem przedsięwzięciem, które tak świetnie się rozpoczęło, a tak głupio się kończy. Jakaś ślepa złość zaczęła się kłębić w jego duszy, pierwszy raz poczuł zmęczenie w członkach, poczuł, że mu ręce drżą i że ot-ot wymknie mu się z palców ta słaba podpora, która go trzyma w zawieszaniu, i że upadnie na bruk podwórza. Coś niby ścisnęło go w sercu, lecz i tym razem nie stracił przytomności. Dobywając ostatnich sił i opierając się łokciami o rynnę, zaczął zwolna wyciągać w górę zwieszony korpus, dopóki nie stanął w rynnicy kolanami. Teraz był już bezpieczny, upaść nie mógł. Lecz właśnie w tej chwili otworzyło się nieopodal okno od strychu, błysnęło zeń światło latarni, błysnęły w tem świetle lufy karabinów i pokazała się nasamprzód wąsata głowa klucznika Sporysza. On natychmiast zobaczył Pantalachę przyczajonego na krawędzi dachu. Pantalacha zdało się nawet, że słyszy szept modlitwy, którą ten „gończy pies“ dziękuje Bogu za to, iż udało mu się przecież dopędzić i złapać aresztanta.

— Pies, pies! — szeptał sam do siebie Pantalacha, i ślepa złość jeszcze silniej zaczęła wzbierać i kłębić się w jego piersi.

— Pantalacha! — zawołał prawie błagającym głosem klucznik, wylażąc oknem na dach i wyciągając ku Pantalasze rękę — bój się Boga człowiecze, co ty robisz? Czy nie możesz już spokojnie odsiedzieć tej reszty dekretu?

— A juści nie mogę, kiedy uciekam! — odparł ponuro Pantalacha.

— I co ty sobie myślisz z tem uciekaniem? Jużes jedenaście razy próbował szczęścia tą drogą, a zawsze ci się nie udaje. Czasby już raz rozum mieć!

— Słuchaj, panie kluczniku — rzekł Pantalacha, wciąż jeszcze na krawędzi dachu, lecz podnosząc się na kolana. — Widziałeś ty kiedy, jak chłopcy w sidła złapią sikorkę, przyniosą ją do chaty i puszcza? Co ona robi? Leci co ma siły do okna i hrym piersią o szybę. Co ona temu winna, że szyba twardsza od jej piersi! Upadnie prawie bez ducha, poleży, odpocznie, lecz skoro przyjdzie nieco do siebie, natychmiast zrywa się znowu, obleci do koła izbę i znowu rym do okna. I tak ciągle, raz po raz, dopóki albo sama nie zginie, albo szyby nie wybije. Wiesz co, panie kluczniku, idź i powiedz tej sikorce mądre słowo: czasby już raz rozum mieć!

— Ależ zmiluj się ty nademną, człowiecze — zawołał prawie boleśnie klucznik. — Czy ja to od siebie? Czy ja bym nie rad, żeby każdemu na świecie dobrze było? Ale cóż ja poradzę? Służba nie swój brat! Kiedy się człowiek raz zaprzął, to musi ciągnąć.

— Powiedz raczej: kiedym się raz najął za psa, to muszę być psem od stóp aż do głowy. Idź, idź,

znam ja ciebie. Myślałem, że chociaż w psiej służbie jesteś przecież człowiekiem. Ale teraz widzę, że na tobie nietylko psi mundur, ale że w tobie także psie serce!

Tymczasem z okna w ślad za klucznikiem wylazło także pięciu żołnierzy z karabinami. Nie mając między sobą żadnego komendanta prócz klucznika, stali na dachu w milczeniu i obawie, żeby w swych ciężkich butach nie poślizgnąć się po gładkiej, pochylej blasze dachu.

— No, Pantalacha — rzekł klucznik, nie zważając na jego gadanie — co tam rozmawiać, chodźmy stąd!

— Idźcie sobie przezemnie choć i do dyabła wszyscy! — rzekł w złości Pantalacha — mnie i tu dobrze.

— Co? Przecież nie myślisz chyba, że jeszcze zdołasz uciec.

— Co ja myślę, to już moja rzecz, ale to ci mówię, że się ztąd nie ruszę. Tu mi dobrze.

— Czyś oszalał chłopie, czy ci co takiego? — krzyknął klucznik, zniecierpliwiony tym głupim i bezcelowym uporem — ale cóż ty tu będziesz robić na dachu?

— Już ja wiem, co będę robić — odparł Pantalacha.

— No, no, nie rób głupstwa! — odezwał się na seryo, spokojnie i stanowczo klucznik — chodź tutaj, pójdziemy do kaźni. Ja już się wstawię za tobą przed dyrektorem, nic ci się wielkiego za to nie stanie.

Ten argument, który miał zachęcić Pantalachę do poddania się i opuszczenia niebezpiecznego stanowiska na krawędzi dachu, podziałał na niego wprost prze-

ciwnie. Wzmianka o karze, która — bez względu na to, czy wielka czy mała — czeka na niego za czyn dzisiejszej nocy, razem z myślą o tak haniebnem niepowodzeniu, była dla Pantalachy tem, czem ostroga dla spłoszonego konia.

— Dyabła zjesz, stary psie! — zawołał wpadając w pasyę — dyabła zjesz, zanim mię zobaczysz w swej przeklętej kaźni!

— Ależ Pantalacha, bój się Boga, co ty gadasz! Opamiętaj się, uspokój się! Chodź do nas!

— Nie, chodź ty do mnie! — krzyczał Pantalacha, wstając na nogi i prostując się tak, że żołnierze czatujący w dole aż oczy pozamykali ze strachu, myśląc, że ten szaleniec ot-ot straci równowagę i upadnie głową na dół. — Chcesz mię mieć — chodź tutaj! Na, bierz mię! Próbuj!

I Pantalacha wyciągnął ręce do klucznika, nie robiąc ani kroku naprzód.

— No cóż — rzekł dobrodusznie klucznik — jeżeli tego koniecznie chcesz, to dobrze, ja pójdę do ciebie. Nie myśl, że się ulknę.

I klucznik rzeczywiście z całym spokojem i stanowczością postąpił parę kroków naprzód po dachu ku Pantalasze. Ale w tej chwili wstrzymali go żołnierze.

— Nie, panie — rzekł jeden z nich. — Czy nie widzicie, że to czysty waryat? Na co wam nieszczęścia? Pozwólcie nam tylko, my go natychmiast złapiemy jak psa na stryczek.

— Aha, przeciw się przeląkł, stary psie! — krzyczał Pantalacha do klucznika, widząc, że ten nie

idzie ku niemu. Słów żołnierza, wyrzeczonych półgłosem, nie mógł zrozumieć.

— Pantalacha — rzekł klucznik — jeszcze raz cię proszę, na Boga cię zaklinam, nie rób głupstw! Chodź!

— Pójdę, jeżeli mię stąd poprowadzicie — odpowiedział z uporem Pantalacha.

— No, co tam za certowanie takie! — krzyczał z dołu kapral. — Czemu go nie bierzecie?

— Kiedy nie chce się dobrowolnie dać! — krzyknął jeden żołnierz. — Ale my go zaraz będziemy mieli — dodał.

— Dyabła tysego, nie mnie — odkrzyknął Pantalacha.

Tymczasem jeden z żołnierzy, zwinny jak wiewiórka Hucul, powrócił po drabinie na strych i przyniósł stamtąd długi i silny sznur, na którym rozwieszano aresztancką bieliznę dla suszenia. Sznur ten złożono w węzeł podobny do tego, jakim łapią psy, i po krótkiej naradzie, zaczęli żołnierze rozchodzić się po dachu, z różnych stron w półkole okrążając z dala Pantalachę. Uczynili to zaś w tym celu, by rozerwać jego uwagę, żeby nie mógł wiedzieć, skąd na niego padnie fatalny sznur. Sznur zaś ten powierzono najsilniejszemu i najzręczniejszemu z żołnierzy, który szedł po dachu, trzymając go na pogotowiu, ale tak skrycie, że nawet sokoli wzrok Pantalachy nie mógł dośledzić podstępny. Mimo to widział Pantalacha, że tu coś się święci, i że ten manewr żołnierzy ma na celu obsaczenie i zaatakowanie jego osoby. Chociaż na swem niebezpiecznym

stanowisku czuł się nietykalnym, to przecież manewrów jeszcze bardziej go rozzłościł.

— No, cóż ty, stary psie — wołał do klucznika — nie idziesz sam do mnie, ale myślisz mię jakimś podstępem złapać? Przysięgam ci na Boga, że pusta twoja robota. Lepiej dajcie mi spokój i idźcie sobie stąd precz, jeżeli nie chcecie dojsć ze mną do jakiego nieszczęścia.

— Ależ Pantalacha — mitygował go klucznik — przecieżeś rozumny człowiek, nie dziecko i wiesz, że to być nie może, że my bez ciebie wrócić nie możemy. Lepiej poddaj się dobrowolnie.

— A kiedy mi się nie chce. Jeżeli pójdziecie stąd i tamtym w dole każecie się oddalić, to może się namyśle i wróce, a jeżeli nie, to nie.

— Czyś ty oszalał, Pantalacha! — zawołał klucznik oburzony tą zuchwałością aresztanta, który sam zawinił i jeszcze śmiało stawiać jakieś warunki. Lecz w tej chwili żołnierz uzbrojony w stryczek, zbliżywszy się do Pantalachy na parę kroków, stanął i błyskawicznym ruchem zarzucił sznur na Pantalachę.

— Ha! — wrzasnął Pantalacha, lecz więcej nie mógł niczego powiedzieć. Stryczek chwycił go za szyję, a żołnierz drugim prędkim ruchem zaciągnął węzeł i ścisnął mu gardło, tak że mu aż oddech zatamował.

— Puść! — chrypiał Pantalacha do żołnierza, chwytając za sznur obiema rękami i starając się zwolnić przedewszystkiem węzeł na szyi.

— Do mnie! Do mnie! Trzymajcie! — wołał żołnierz szeroko rozstawiwszy nogi i ślizgając się po dachu.

Lecz zanim żołnierze zdolali przyskoczyć i uchwycić swego towarzysza, już Pantalacha szarpnął potężnie sznur, żołnierz stracił równowagę i potoczył się po pochylności dachu. Równocześnie stracił równowagę i Pantalacha i obaj zapaśnicy z jednym rozdzierającym krzykiem zlecieli z dachu i upadli na podwórze. Pantalacha runął na wznak i uderzywszy się głową o bruk, na miejscu padł nieżywy. Żołnierz zaś upadłszy bokiem na jego trupa prócz wywichnięcia lewej ręki i znacznego przestachu pozostał nieuszkodzony.

— W imię Ojca i Syna — jękał wstając — a to złodziej!

Chociaż nie do śmiechu było żołnierzom, stojącym na podwórzu, świadkom tej napowietrznej sceny, to przecież niektórzy mimowoli się uśmiechnęli, słysząc te słowa swego kamrata, prawie cudem ocalonego od śmierci. A gdy się przekonali, że mu się prawie całkiem nic nie stało, zapanowała w ich gronie wielka radość, a kapral przyrzekł ocalonemu niechybną pochwałę za ten śmiały czyn. Na trupa Pantalacha nikt nie zwracał już uwagi. Co znaczył jakiś tam złodziej? I tak ich za dużo na świecie. Tędy mu i droga! Tylko ocalony żołnierz, nie mogąc się jeszcze opamiętać ze strachu, przyskoczył do skrwawionego trupa i kopnął go parę razy butem w bok i w pierś, dodając za każdym razem:

— A ty złodzieju! A ty rozbójniku! Na masz! masz! masz! żebyś na drugi raz wiedział, jak uciekać!

Tymczasem cały kryminal był zaalarmowany wiadomością o ucieczce Pantalacha i o strasznym wypadku na dachu. Dokoła trupa Pantalacha zgromadzili się

strażnicy, żołnierze, nawet spora liczba aresztantów, którzy mieli przywilej chodzić wolno po podwórzu. Przyszedł wreszcie i dyrektor, kiwając głową i rozmachując rękami.

— No, Pantalacha — rzekł stanąwszy nad skrwawionym, ciepłym jeszcze trupem. — Widysz, czełhos se dorobil! Ja ti powidał: sed ticho! Ja to protokował, że se z tebou zle skonczy. A ty zawsze swoje! Masz teper, ja ti temu nie winien!

Przyszedł wreszcie zlązszy z dachu i klucznik Sporysz błądy, chłodny i nieprzytomny i długo, długo wpatrywał się w krwawą, zmiażdżoną do niepoznania twarz Pantalacha, z której tylko oczy, odarte z powiek, ogromne i nieruchome, zdawały się patrzeć na niego z wyrazem niezmiernego przestachu i jakiegoś okropnego, krwawego wyrzutu. W uszach jego wciąż jeszcze brzmiały gniewne słowa Pantalacha: „Myślałem, że chociaż w psiej służbie, jesteś przecież człowiekiem. Ale teraz widzę, że na tobie nie tylko psi mundur, ale że w tobie także psie serce!“ I biedny klucznik zachrzął całym ciałem. Kilkakrotnie usiłował odwrócić oczy od okropnego widoku tej twarzy, lecz nie mógł, coś mu przykuwało jego oczy do tego trupa. Dopiero gdy na rozkaz dyrektora dwaj aresztanci wzięli trupa na nosze i ponieśli do więziennej trupiarni, ustąpiła z morderca dławiąca Sporysza i ten westchnąwszy głęboko przeżegnawszy się poszedł do swej służby.

VI.

Pierwszym aktem tej służby było — wysledzić, w jaki sposób dokonał Pantalacha tej swojej ostatniej

ucieczki. Dyrektor pospieszył do trupiarni, by być obecnym przy rozbieraniu trupa, a klucznika posłał zrobić rewizję w kaźni.

Był ranek mglisty i ponury, w kaźni było jeszcze prawie całkiem ciemno. Mimo to Prokop po wyjściu klucznika nie kładł się już spać, ale usiadłszy na środku kaźni, bawił się dzwoniąc porżniętymi kawałkami sztaby o wierzchnią część pieca, która leżała tuż przed nim, obrócona do góry kresami. Wreszcie wspomniawszy coś, rzucił kawałki sztaby i wstawszy z podłogi klaskał w dłonie i rzucił się do swego posłania. Zasunął rękę pod twardą, do grubego placka podobną słomianą poduszkę i zaczął pilnie szukać. Jakże się ucieszył, gdy pod poduszką rzeczywiście znalazł obie połówki rozkrojonego i wydrążonego guldena, które położył tam dla niego Pantalacha! Aż podskoczył z radości, a jego wytrzeszczone oczy zaiskrzyły się jak u kota. Usiadł na tapczanie i zaczął dzwonić temi błyszczącymi cackami jedno o drugie, puszczał je, by się toczyły po podłodze i jak dziecko klaskał w dłonie, gdy srebrne płytki opisywały po podłodze piękne ślimakowe skręty i kręgi.

Bawił się tak dość długo, wreszcie znudziła go jednostajność tej zabawy, a żołądek dopominał się też o swoje prawa. Była już ósma; aresztantom po innych kaźniach rozdawano śniadanie — rzadką zupełną grochową. Porzuciwszy oba krążki srebrne na tapczanie, Prokop przyłożył twarz do wizytyrki i nadśledził, czy prędko kucharze zbliżą się do niego. Wiedział biedak, że dają mu jego porcyę zwykle na samym końcu, to jest, kiedy zupy w kotle dawno już nie stało,

i kucharze po raz drugi podlali ciepłą wodą gęsty osad, co był na dnie i rozbełtali za pomocą ogromnej warzechy. Prawda, dopóki był w kaźni Pantalacha, podawano tutaj śniadanie i obiad nasamprzód, aresztanci dbali o swego „majstra“, więc rzecz oczywista, że i durny Prokop na tem korzystał. Ale biedny idyota miał pamięć krótką, zapomniał, że Pantalacha już w kaźni niema, nie wiedział i nie był ciekaw wiedzieć co się z nim stało i czuł tylko głód i niecierpliwość, dla czego też jedzenia mu nie niosą.

Chwilę stał cicho przytulony do drzwi i słuchał, wreszcie zaczął zgrzytać zębami i warczeć jak pies słysząc, że aresztanci roznoszący śniadanie nie spieszą się ku niemu i rozmawiają coś głośno na kurytarzu. Wreszcie co siły zaczął bić pięściami i nogami o drzwi. Jakiś czas nikt się nie odzywał i nie przychodził, a więc Prokop nie przestawał walić w drzwi coraz silniej. Naraz atoli zabręczała kłódka, zgrzytnął zamek kaźni i Prokop odskoczył odedrzwi, jak oparzony. Drzwi się otworzyły i wszedł klucznik Sporysz w towarzystwie jeszcze jednego dozorca.

— Czego hrymiesz? — zapytał Sporysz surowo Prokopa.

— Ja... ja... nie — odpowiedział Prokop skuliwszy się niby dla odebrania ciągów i zakrywszy twarz rękoma. — Ja... ja... spię!

— Spisz? A któż tak o drzwi wali?

— Ta bo ja... ja chcę jeść!

— A najadłbyś ty się smoły gorącej, tumanie! — rzekł dozorca. — Powiesić cię warto, a nie jeść

ci dać. Nie mogłeś ty tak w nocy zahrymać o drzwi, zanim ten złodziej sztaby na piecu poprzerzynał?

Sporysz tymczasem rzucił okiem po kaźni i w pierwszej chwili spostrzegł dwa krążki srebrne, leżące na tapczanie. Chwycił je, obejrzał i zdrętwiał cały: odrazu poznał połówki tego samego guldena, który wczoraj dał Pantalasze, odrazu domyślił się związku tego guldena z ucieczką Pantalachy.

— A to co? — zapytał Prokopa, pokazując mu krążki.

— To moje! — krzyknął płaczkliwie Prokop i wyciągnął ręce ku błyszczącym przedmiotom. — To moje, oddajcie mi!

— Twoje? A ty skąd to masz? Kto ci to dał?

Prokop stanął szeroko rozdziawiwszy gębę, nie wiedział co na to odpowiedzieć. Przypomnił sobie surowy zakaz Pantalachy i drżał na samą myśl o tem, że ten „nanaszko“ może wykonać swą straszną groźbę, to jest, może jakimś cudem wynieść go z tych murów i zanieść do domu rodziców, gdzie go bito, szturkano i głodem morzono, gdzie mu było daleko gorzej, niż tu we więzieniu.

— Mów, kto ci to dał? — wrzasnął mu nad samym uchem klucznik i poparł swe pytanie potężnym razem, wymierzonym w plecy Prokopa.

— Joj-joj-joj-joj! — zapiszczał Prokop, skulił się jak przedtem i zakrył twarz rękami.

— No, powiedz, powiedz, kto ci to dał — rzekł łagodnie Sporysz, wiedząc, że surowością od tego idyoty niczego się nie dowie. — Powiedz, nie bój się, nie ci się nie stanie.

— Aha, nic? — łkając wymówił Prokop.

— Ja ci mówię, że cię ani palcem nie tknę!

— E, wy, ja się was nie boję — rzekł ośmielony łaskawością Sporysza idyota.

— No, a kogóż się boisz?

— Pantalachy.

— Pantalachy? A cóż on ci może zrobić?

— Weźmie mię stąd i zanieś do ojca!

Obaj policyjanci roześmiali się na taki argument.

— Ha, ha, ha! Czy widział kto, czego się ten dureń boi! — rzekł dozorca. — To inny ucieka stąd, żeby się dostać do domu, a ten się boi, żeby go kto z kryminału nie ukradł i do domu nie zaniósł.

Ale Sporysz spowaźniał.

— No, no, nie bój się głupi, Pantalacha nie ci już nie zrobi.

— Aha, nie zrobi? Wy skąd wiecie, że nie zrobi?

— rzekł Prokop, ocierając łzy rękawem.

— Bo go już niema na świecie.

— A gdzie jest?

— W trupiarni.

— A on co tam robi?

— Co ma robić, leży. Chyba nie wiesz, że upadł z dachu i zabił się na śmierć?

— E, a może on i z trupiarni ucieknie?

Znowu uśmiechnęli się dozorca nad głupotą Prokopa, ale Sporysz wiedział, że z idyotą trzeba gadać jego językiem, rzekł więc poważnie:

— Nie bój się, stamtąd już nie ucieknie. Dziś jeszcze przyjdą doktorzy, oderzną mu głowę, ręce i nogi, no, to jakże bez nich ucieknie?

Prokop wytrzeszczył oczy na klucznika, jak gdyby mu nie wierzył, wreszcie zachychotał głośno:

— Hi, hi, hi! Będą rznąć Pantalacha, jak wie-prza! I brzuch mu rozprują?

— I brzuch rozprują.

— Hi, hi, hi! A mnie puszczać się popatrzeć?

— A juści, juści. Ja cię sam zaprowadzę. Tylko mi powiedz, kto ci to dał?

Prokop niby zawstydzony pochylił twarz ku ziemi i zakrył oczy rękoma.

— Ja... Ja nie wiem.

— Howory do durnia! — krzyknął dozorca, zniecierpliwiony tym głupim uporem. — Dlaczego nie powiesz od razu, że Pantalacha?

— No, powiedz, powiedz! — rzekł Sporysz. — Pantalacha ci dał?

— Pantalacha.

— No, tak, to dobrze. A za co on ci to dał?

— Za co? Za nic. Za to, żeby spać w nocy.

— Aha! A nie kazał ci, żebyś nikomu nic nie mówił?

— Kazał.

— A nie mówił ci, skąd on to dostał, tę zabawkę?

— Mówił.

— A skąd? — zapytał ciekawie klucznik. On drżał na samą myśl, że Pantalacha mógł powiedzieć temu durniowi, że dostał guldena od Sporysza. — Skąd on to dostał?

— Od świętego Mikołaja.

— Co? Od świętego Mikołaja?

— No, tak, — rzekł ośmielony Prokop. — Święty Mikołaj przyszedł do niego i mówi: „Nie płacz, Pantalacha. Bili cię „pany“ za to, żeś uciekał. Masz tu kluczowe ziele, ono ci samo wszystkie zamki otworzy, i uciekniesz znowu. A Pantalacha przyszedł do kaźni ucieszony. Nasamprzód chciał mię zjeść, a potem rozłupał to na dwie połowy i wydobyl stamtąd kluczowe ziele.

— Jakież to było ziele?

— O, ładne! Takie niebieskie, a cienkie, a długie, długie. Tu w tem leżało skręcne. A potem Pantalacha mówi do mnie: dam ci to, ale żebyś w nocy spał; żeby tu pioruny były, nie śmiesz się zbudzić. I żebyś nie wiem co widział albo słyszał, to nie śmiesz nic widzieć ani słyszeć.

Sporysz odetchnął swobodniej. Rzecz oczywista, Pantalacha nie zdradził go przed Prokopem, dureń nie wiedział niczego o tem, że to on dał złodziejowi tego guldena, a więc można będzie wyjść czystym z tej brzydkiej historii. Biedny klucznik aż drętwiał cały, ilekroć pomyślał, że gdyby nie przezorność Pantalacha i nie idiotyzm Prokopa, to historia z tym guldenem mogłaby była ściągnąć na niego wielką biedę, utratę służby, a może nawet i kryminał. Z ulżonem sercem wypytywał więc dalej Prokopa, co Pantalacha robił wieczorem, co robił w nocy, jak uciekał, itd. Pokazało się jednak, że Prokop o tem wszystkim mało co wiedział.

— Wieczorem nanaszko Pantalacha skakał na jednej nodze, potem polazł pod tapczan i znalazł tam coś,

potem łaził na okno, potem coś majstrował, potem krajał mój chleb, ale nie jadł, a potem... potem ja zasnąłem i nie słyszałem nic więcej.

— No, a nie mówił ci Pantalacha — zapytał Prokopa dozorca — co to za święty Mikołaj dał mu to kluczowe ziele?

— Co za święty Mikołaj? — powtórzył Prokop i wytrzeszczył oczy. — Święty Mikołaj, ten co w cerkwi na obrazie namalowany.

— No, a skąd on się wziął tutaj?

— Tego nie wiem.

— A kiedy on dał to Pantalaszce?

— Jak go tam wybili, wtenczas mu dał.

— A więc mówił ci Pantalacha, jak on wyglądał?

— Nic nie mówił.

Rzecz jasna: od Prokopa trudno się było cokolwiek więcej dowiedzieć. Zaczęli więc dozorca rewidować kaźnię, przetrząsać sienniki, zaglądać do każdej szparki, do każdej szczelinki, i rzeczywiście udało im się poznać mnóstwo rozmaitych metalowych przedmiotów: blaszek, drutów, sztabek, kawałków miedzi i t. p., ale nie takiego, co by mogło naprowadzić na dalszy jaki ślad. Wszyscy od dawna wiedzieli, że Pantalacha nietylko w „laboratorni“ ślusarskiej pracuje, ale także w kaźni rozmaite wyrabia przedmioty, nigdy więc nie zabierano u niego przy rewizjach rzeczy drobnych i obojętnych, a więc i obecnie dozorca nie zdziwili się, znalazłszy ich tyle w jego kryjówkach.

Zmęczony się bezplodnym poszukiwaniem zabierali się już do wyjścia, gdy wtem Prokop, który przez cały czas rewizji skulony i nieruchomy siedział

na swym tapczanie, zerwał się nagle i zastąpił Sporyszowi drogę, wyciągając ku niemu ręce.

— A ty czego chcesz? — zapytał się go klucznik.

— Oddajcie mi to, co moje! — rzekł Prokop.

— Co ci mam oddać?

— A to, takie ładne, co mi dał Pantalacha.

— Idź waryacie, — opryskliwie odrzekł Sporysz — przecież muszę to pokazać panu dyrektorowi.

— A on mi odda?

— Albo ja wiem.

— A...a... ale przecieżeście wy mi obiecali oddać! —

odpowiedział Prokop.

— No, cóż z tego, żem ci obiecał, kiedy nie mogę.

— Ależ ja wam za to opowiedziałem, co mi mówił Pantalacha! — rzekł Prokop, podnosząc głos.

— Toś dobrze zrobił — rzekł Sporysz — ale ja ci tego oddać nie mogę. Bo widzisz, jeżeli to Pantalaszce dał święty Mikołaj, rozumiesz? — to trzeba to pokazać księdzu, ażeby on poznał, czy to jest na prawdę od świętego Mikołaja, czy może Pantalacha kłamał.

— Kiedy ja nie chcę księdzu pokazywać! — krzyknął Prokop. — Ja nie chcę księdzu! Oddajcie mi! To moje!

— Idź precz! — krzyknął zniecierpliwiony dozorca i chwyciwszy Prokopa za plecy, pchnął nim tak silnie w głab kaźni, że biedny idyota, potknąwszy się o obręcz żelazny leżący wciąż jeszcze na podłodze, upadł rozkrzyżowany na twarz i rozbił ją sobie o podłogę. Zawrzęszał jak dziecko, lecz zanim wstał, już drzwi kaźni były zamknięte.

VII.

Klucznik Sporysz rzucił się na swe stare krzesło i pochyliwszy głowę na piersi, siedział tak długo w nie-mej zadumie. Zmierzch już zapadał, a w jego samotnym pokoiku, co wychodził swem jedynym oknem na jakieś ciasne i głębokie jak studnia podwórze, było już na pół ciemno. Od samego południa, kiedy uwolnił się na całą dobę ze służby i opuścił więzienne mury, czuł się jakimś nie swoim, a im bliżej ku wieczorowi, tem bardziej wzrastał jego niepokój.

Rzecz oczywista, że straszna przygoda przeszłej nocy wywarła na nim potężne wrażenie — tem potężniejsze, ile że był człowiekiem na wskrós uczciwym, w którym służba i karność wojskowa nie zdołały zgłuszyć czysto ludzkich uczuć, a nadto skłonny do zadumy, do melancholii, wrażliwym więcej, niż to przystało dla zmuszonego zarabiać na chleb codzienny pełnieniem „psiej służby“.

Ach, ta służba więzienna! To wieczne dozorowanie ludzi jak trzody, wieczne łażenie po kieszeniach i zanadrzach, wieczne rewidowanie, szperanie, nadśluchiwanie i chodzenie na palcach! Wieczne przyglądanie się bądź to zdziechałym, skażonym przez zepsucie, namiętność lub obłęd twarzom, słuchanie rozmów cynicznych lub rozzdzierających swą okropną prostotą! Wieczne oddychanie ciężką, zatrutą atmosferą więzienia, zatęchłych ścian, ciemnych kurytarzy i cuchnących, przeludnionych kaźni! Wieczne słuchanie wzajemnych oskarżeń, drobnych, ale tem nikczemniejszych donosów, wieczny widok pelzania przed władzą, scen brutalnej

samowoli, deptania godności ludzkiej tam, gdzie tej godności nieraz tylko mała pozostała iskierka, która by się jednakowoż łagodnym podmuchem dała rozdmuchać w piękny, żywy płomień! Ach, ta przekłeta służba więzienna! Sporysz czuł się głęboko nieszczęśliwym od pierwszej prawie chwili swego wstąpienia do niej, czuł się i sam więźniem, zasądzonym bez winy na dożywotnie więzienie i z tem samym ciężkiem i bolesnym uczuciem dwadzieścia lat już dźwigał swe jarzmo. Bo i cóż miał robić na tym bożym świecie? Wzięty do wojska od roli, wysłużył w wojsku jednym ciągiem lat dwanaście, nie mając z domu żadnych wiadomości. Gdy powrócił, nie zastał już rodziców przy życiu i dowiedział się, że ci przed śmiercią wskutek jakiegoś wypadku zmuszeni byli sprzedać połowę gruntu. Drugą połowę posiadał młodszy brat Sporysza; wynosiła ona wszystkiego sześć morgów kiepskiego gruntu podgórskiego. Co z tem robić? Brat zaproponował Sporyszowi podział, ale on wiedział dobrze, że brat mówił z nim o podziale ze łzami w oczach: nie usta jego, ale kurczowo drgająca twarz, drżący głos i ciężkie lzy mówiły wyraźnie:

— Będziemy obaj żebrakami!

Sporysz zrozumiał tę mowę bez słów i uściśnawszy brata, rzekł: — Biedny bracie, wiem ja, co masz na sercu! Nie potrzebujesz mi mówić więcej. Widzę, jak ciężko ty biedujesz i na tych sześciu morgach, a cóż dopiero byłoby na trzech! Ale cóż ty sobie o mnie myślisz? Miałbym ja sumienie obdzierać ciebie i twoje dzieci? I na co by mi się twój grunt przydał? Przez dwanaście lat służby wojskowej odwykłem od pracy

na roli, a teraz widzę, że dobrze zrobił, bo i na czem tu pracować? Wiesz co, zostawaj sam na tej ojcowiznie i niech ci Bóg pomaga, a ja pójdę, skądem przyszedł, będę dalej pędził swój wiek w cesarskiej służbie.

I rzekłszy to, wcisnął bratu w dłoń wszystkie pieniądze, jakie uskładał podczas służby wojskowej na swe nowe gospodarstwo, całych czterysta reńskich, a sam spakował swe biedne manatki, poszedł znowu do komendy wojskowej i zameldował się, że chce służyć drugą kapitulację, tj. drugich lat dwanaście. Że był w służbie zdolnym, uczciwym i ogólnie lubianym, że miał szczególnie talent osobiście do wyuczania świeżo zaciężnych rekrutów musztry wojskowej, przyjęto go z radością i awansowano na führera, a potem nawet na feldfebla. Tak wysłużył Sporysz drugich lat dwanaście.

Tymczasem brat jego nie wybiwszy się z nędzy umarł, drobne dzieci jego rozeszły się po świecie, ojcowiznę rozszarpali obcy ludzie — co miał czynić stary wysłużony żołnierz? Do żadnej pracy zawodowej był niezdolny, do żeniaczki nie miał ani chęci ani potrzebnych zasobów, trafiła mu się służba rządowa, służba dozorczy więziennego, więc ją i przyjął chociaż niechętnie — przyjął, bo nie było w czem przebierać.

Od tego czasu minęło lat dwadzieścia. Sporysz postarzał się, posmutniał. Wyszedłszy z murów więziennych, ze służby, unikał ludzi, przesiadując całymi dniami w swej samotnej izdebce na drugim piętrze, lub jeżeli pozwalała pogoda, odbywając dalekie marsze za miasto, w pole i w lasy. Tu tylko oddychał wolniej, napawał wzrok i serce pięknnością przyrody. Wieczorem zaś szedł do

Naftuły, siadał w samotnym, na pół ciemnym kąciuku i milczkiem wypijał kufel piwa. Gospodyni, u której mieszkał, i która mu gotowała jeść, nie dokuczwała mu swym towarzystwem, miał więc Sporysz dość czasu do oddawania się myślom, a myśli te im dalej, tem więcej stawały się smutne i ponure. Wspominał swą młodość już prawie zapomnianą — teraz mu się wydawała szczęśliwą, chociaż w rzeczywistości była wcale nie świetną. Wspominał długie lata wojskowej służby, ciężkie trudy, mizerne przygody, przeważnie nie warte wspomnienia, drobne sekatury starszyny, drobne radości i wielkie smutki z drobnych powodów. Wspominał wreszcie długie lata swej służby więziennej; niby nieprzerwana szara i chłodna chmura przelatywały po nad nim te lata...

— Stracone życie! Psie życie! — wzdychał kluźnik i poczuwał co raz większe obrzydzenie do tego życia i do samego siebie.

Ale dziś osobiście te przykre uczucia spotęgowały się do wysokiego stopnia. Krwawa, zmiążdżona do niepoznania twarz Pantalachy bezustannie stała przed jego oczyma, wierząc jego wewnątrz jakimś okropnym wyrzutem, burzyła krew w jego żyłach, odbierała mu spokój, apetyt, sen poobiedni. Mimo że był głodny, gdy zasiadł w południe do stołu, niczego jeść nie mógł, a sam widok mięsa sprawiał mu omal że nie mdłości.

Lecz najkrwawszym, najcięższym wyrzutem brzmiały mu w uszach ostatnie słowa Pantalachy: „Myślałem, że tylko psi mundur na tobie, ale teraz widzę, że masz i psie serce“. Słowa te w pierwszej chwili niezbyt wzruszyły Sporysza, zabolaly go jedynie jako

niesprawiedliwy wyrzut. Lecz gdy Pantalacha spadł z dachu, gdy z jego zmiażdżonej twarzy śmierć zaryzała w oczy Sporyszowi swem nieklamiącym, okropnem obliczem, wtenczas słowa owe całkiem inne, ponure echo zbudziły w jego duszy. A echo to w ciągu całego popołudnia nie milkło, lecz rozbrzmiewało tysięcznymi tony, potężniało jak zapowiedź nadchodzącej burzy.

Bo w samej rzeczy, za cóż zginął w tak okropny sposób Pantalacha? Za to, że się rwał do ucieczki. Lecz czyż to taka wielka wina? Prawo nie uważa jej za zbrodnię, ale tylko za lekkie przekroczenie, a nawet barbarzyński „porządek domowy“, panujący w więzieniu, chociaż ostro ją karze, nie karze śmiercią. I cóżby się stało, gdyby był uciekł Pantalacha? Czy poniósłby był przez to kto jaką szkodę? Nie! gdyby Pantalacha chciał pozostać w Galicyi, to pewnie wkrótce znowu by go schwytano i w więzieniu osadzono. Gdyby zaś udało się mu umknąć za granicę, zacząć życie śród innych warunków, to kto wie, czy nie byłby się jeszcze z niego wyrobił uczciwy i pożyteczny człowiek. A jeżeli nie, to byłby sobie zginął bez niego, byłby przepadł bez wieści. Czyż musiał koniecznie on, Sporysz, tak lub inaczej, umaczać na stare lata ręce w krwi ludzkiej, wziąć na swą duszę ludzkie życie?...

O, tak! nie pozostawało mu już żadnej wątpliwości — on i nikt inny, tylko on winien był śmierci Pantalachy. Przecież on to w swej zaślepionej głupocie, w swej bezrozumnej dobroduszości dał mu do rąk narzędzie, które w rękę Pantalachy samo się napraszało, aby użył go do wykonania nowego planu ucieczki. Groza „kazienki“ przyspieszyła to wykonanie. I wcale

to nie ulżyło sumieniu Sporyszowemu, gdy jakiś głos szepnął mu, że on przecież nie wiedział o tem, iż w owym nieszczęsnym guldenie kryje się piłka. Nie w tem też leży jego główna wina, że się okazał dobrodusznym, ale w tem, że bezpośrednio potem okazał się tak głupio i bezcelowo okrutnym. O, bo przypomina on sobie, że myśl o możliwej próbie ucieczki Pantalachy mignęła w jego głowie zaraz w pierwszej chwili, kiedy przez sen posłyszał cienie harczenie piłki, przecinającej sztaby żelazne. Trzeba było w tej chwili pomyśleć o tej rzeczy po ludzku, powiedzieć do siebie: no cóż, próbuj, bo położenie twoje rzeczywiście jest okropne. Ja ci przeszkadzać nie będę. Mógł zasnąć spokojnie, twardo, i nie słyszeć nic tak samo jak nie słyszał żołnierz. Nawet ów stuk w kominie i w kaźni Pantalachy mógł wytłómaczyć żołnierzowi jako coś zwykłego i niewinnego — i Pantalacha miałby dość czasu do ucieczki. A gdyby się rano wykryła była jego ucieczka, to klucznikowi i wartującemu żołnierzowi prócz drobnych nieprzyjemności byłoby się nic nie stało. Ale za to Sporysz nie miałby na sumieniu śmierci człowieka!

I to jakiego człowieka! Złodziej, złodziej — powiedzą wszyscy, wruszając ramionami. Sporyszowi nie pozostało nawet tej pociechy. Zanadto głęboko wejrział on w duszę tego człowieka, by się nie przekonać, że pod grubą warstwą zepsucia kryły się w jego duszy złote żyłki szlachetnych i ludzkich uczuć, silnej woli i energii. Im dłużej rozmyślał Sporysz, tem więcej imponowało mu w Pantalaszę przedewszystkiem owo chorobliwe, egzaltowane pragnienie swobody, ów

dziwny szal, który popychał tego człowieka na oczywiste stracenie, do najrozpaczliwszych kroków. Przecież z takich ludzi wśród innych okoliczności powstają sławni dowódcy, generałowie i bohaterowie, którzy prowadzą całe narody do zwycięstw i chwały!

— A przecież spełniłem jedynie swój obowiązek, alarmując straż i ścigając zbiega! — szepnął mu głos jakiś, lecz ta wymówka nie uspokoiła go. Przeciwnie, poczuł wstyd za swą ludzką istotę.

— Pies, pies! Tak, Pantalacha miał słuszną! — westchnął Sporysz i nie czekając na wieczerzę, poszedł do Naftuły. Ale i tu nie doznał ulżenia. Zasiadłszy w swym zwykłym kąci, podejrzliwym okiem oglądał się dookoła, czy ludzie nie wytykają go palcami; przysłuchiwał się rozmowom, czy nie wspominają o nim. Pantalacha rzeczywiście był znowu przedmiotem powszechnej uwagi, ucieczka jego i śmierć były już opisane w gazetach, stanowiły wielką nowinę dnia. Wbrew swemu spodziewaniu klucznik usłyszał głosy sympatyczne o zmarłym. Zapomniano o kradzieżach — w pamięci pozostało tylko jego niez mordowane i szalone porwanie się ku wolności, które go o śmierć przyprawiło. Z drugiej strony nie potępiano straży ani klucznika — spełnili swój obowiązek, a przy jednym stole zarządzono nawet składkę dla żołnierza, który razem z Pantalachą spadł z dachu i żywym pozostał.

Wszystko to zajmowało, na pozór nawet uspokajało Sporysza. Lecz gdy następnie powrócił do domu, czuł, że nie zaśnie w nocy i lękał się swego własnego łóżka; zdawało mu się, że tam znajdzie obok siebie chłodnego, krwawego Pantalachę ze zmiażdżoną twa-

rzą i z ogromnemi, z powiek obdartemi oczyma. Po- stanowił nie kłaść się spać i przepędzić noc całą w krześle, a dopiero nad ranem zasnąć, kiedy jasne słońce poroz- pęda krwawe mary.

Ale i w krześle sen jego nie był spokojny. Rzucal się, krzyczał, raz marzył, to znowu oblewał się potem. Najmniejszy szmer przemieniał się w jego sennym słu- chu w ostre, gwiżdżące harczenie, na odgłos którego zrywał się jak oparzony.

VIII.

Sporysz miał służbę nocną. Zamykając na noc cele więzienne, zaszedł i do kaźni Prokopa. Ten leżał na swym tapczanie, twarzą obrócony do ściany i za- warczał gniewnie na widok Sporysza. Gdy zaś klucznik stojąc pośrodku kaźni podniósł w górę lampę, ogląda- jąc ściany, a następnie schylił się i zajrzał po kątach po pod tapczany, jak to było jego obowiązkiem, Prokop niespokojnie rzucal się na swem miejscu jak kot, go- tujący się do skoku. W oczach idyoty świeciła się wściekła nienawiść. Sporysz jednak nie zwrócił na to uwagi. Co znaczył dla niego niemy gniew idyoty wobec tych nieodstępnych myśli i zgrzytot, które kłębiły się w jego wnętrzu i chwiały jego spokojem?

Pozamykawszy cele, Sporysz odetchnął swobodniej i rozstawszy się z drugim klucznikiem, który dotych- czas dyżur prowadził, pozostał sam w kurytarzu. Wła- śnie z wartowni zaprowadzano straż nocną, i Sporysz przeszedł się po kurytarzu, zanim kapral na miejscu dał żołnierzowi odpowiednie instrukcje.

Z trwogą i niepokojem oczekiwał Sporysz tej nocy. Jakieś ciemne przeczucie mówiło mu, że nie będzie ona spokojną, że tu, na miejscu, gdzie niedawno jeszcze żył i oddychał Pantalacha, najsilniejsze też być muszą wspomnienia o nim. Sporysz jako stary żołnierz nie wierzył w duchy i przewidzenia, nie z tej strony więc obawiał się jakichś przykrości; bał się własnego wnętrza, własnej duszy, rozstrojonej wczorajszeimi myślami i wrażeniami. Łękał się snu i postanowił nie spać noc całą, chodzić po kurytarzu, gawędzić z żołnierzem wartowym i w ogóle czynić co można, by „nie dopuszczać sobie do głowy żadnych ciężkich myśli“.

Niestety jednak, nie zupełnie mu się to udało. Żołnierz stojący na warcie był prosty chłop, o ciężały, milczący i nie skłonny do gadania; utrudzony całodzienną musztrą chciał spać w nocy i dla tego zaledwie pół godziny dotrzymywał kompanii Sporyszowi słuchając, co ten mu opowiadał o swej służbie wojskowej, od czasu do czasu wtrącając jakie słówko. Wreszcie wprost poprosił Sporysza, by mu pozwolił nieco się przedrzemać. Biedny klucznik nie miał co robić. Usiadł więc na pace, jak owej pamiętnej nocy, kiedy Pantalacha uciekał, i milcząc wpatrywał się w ciemną gardziel kurytarza, z zawiścią spoglądając czasem na żołnierza, który tuż obok niego, wsparty na karabinie, prawie w jednej chwili zasnął.

Tak minęło może z dziesięć minut martwej, sennej ciszy, gdy w tём nagle Sporysz zadrzał, podniósł głowę i natężył słuch, rozwarł szeroko oczy i nawet otworzył usta. Co to było? Czy złudzenie wyobraźni, czy... czy...

Sporysz nie śmiał dosnuć tej myśli do końca i słuchał zataiwszy oddech.

— Hrrr! hrrr! hrrr! — rozlegał się najwyraźniej w świetle po całym kurytarzu cienki, gwizdzący zgrzyt angielskiej piłki różnej żelazo.

Kilka minut Sporysz siedział jak skamieniały, nie ruszając się z miejsca, łowiąc uchem i ustami i całą swą istotą owe fatalne dźwięki. Nic nie myślał, nic nie odczuwał w tej chwili, ani strachu, ani trwogi, moźnaby nawet powiedzieć, że był spokojnym, chociaż był to spokój raczej kłody, niż świadomego człowieka.

Dopiero po kilku minutach tego martwego spokoju nastąpiła reakcja. Żywa siła obudziła się w Sporyszu. Gwałtownie rzucił się na swem miejscu, wskoczył na nogi, chciał krzyknąć, chciał chwycić coś rękoma, biedz gdzieś, wołać o pomoc, i poczuł, że całe jego ciało oblane jest chłodnym potem. Ale i to wzburzenie trwało tylko chwilę. Opamiętał się, nie krzyknął, a spojrzawszy na żołnierza śpiącego w najlepsze, uspokoił się nieco i zaczął zbierać rozprószone myśli.

Co to mogło być? Posłuchał jeszcze raz, uważnie i pilnie — tak jest, niema żadnej wątpliwości! I tym razem nie co innego, jak tylko to, co przedwczoraj. Kto to może być? Oczywiście, że znowu jakiś aresztant chce spróbować pójść za przykładem Pantalachy. Sporysz zapytał sam siebie, co ma czynić w takim razie? Czy zbudzić żołnierza? Lecz co mu żołnierz pomoże? Lepiej pójść i przekonać się, gdzie to, w której kaźni tak usilnie ktoś pracuje. Mignęła nawet chwilowo w jego głowie myśl, dać spokój i zostawić uciekającego aresztanta, niech ucieka, ale przyzwyczajenie służbowe wzięło

górze. Stąpając na palcach, poszedł wzdłuż kurytarza, uchem śledząc, skąd mógł wydobywać się zgrzyt podejrzanym. Idąc uśmiechał się nawet. Widać, że nie Pantalacha pracuje, ale jakiś nowicyusz. Niewprawne ucho, niewprawna ręka! Pantalacha umiał łowić uchem najbliższy szelest na kurytarzu i natychmiast przestawał — widać, że robiąc swoje, panował zupełnie nad wszystkimi władzami swego umysłu, nie czuł ani trwogi, ani wzruszenia, ani niepokoju. A ten zatopił się cały w swem zajęciu i na nic więcej nie zważał. Ciekawa rzecz, czy posłyszysz, gdy będę kłódkę odmykał! O, rzecz pewna, że z taką ostrożnością nie daleko zajdzie!

Tak miarkując klucznik zwolna posuwał się kurytarzem. Ale im dalej szedł, tem bardziej chwilowy spokój jego nikał, tem silniej marszczyło się czoło i ścisnęły usta. Cóż to? zgrzyt zdawał się uchodzić przed nim coraz dalej w głąb kurytarza! Klucznik rozmiarkował sobie z góry, w których kaźniach znajdują się takie ptaszki, po których możnaby się spodziewać próby ucieczki, ale teraz przekonywał się, że we wszystkich tych kaźniach cicho jak makiem posiał. A harczenie rozlegało się ciągle, wyraźne, przyspieszone, monotonne, jak metaliczne świerczenie świerszczka w szparce pod piecem.

Zwolna, jak widmo, zbliżał się Sporysz ku kaźni, z której przedwczoraj po raz pierwszy głos ten złowieszczy posłyszal. Zbliżał się mimo jakiegoś wewnętrzznego oporu, potarł czoło ręką, jak gdyby chciał odegnać myśl jakąś natrętną a niedorzeczną. Wszak to być nie może! Wszak to nonsens, by i obecnie dźwięk ów

mógł pochodzić z tej samej kaźni! Nikogo w niej nie było prócz Prokopa, a przecież ten idyota ani pilki niema, ani obchodzić się z nią nie umie, ani interesu żadnego nie ma pilować sztaby! A przecież głos wyraźnie na tę właśnie kaźnię wskazywał. Sporysz zbliżył się ku samym drzwiom, przyłożył ucho, tak, nie było wątpliwości, z tej kaźni wydobywał się dźwięk złowieszczy, rozlegał się wyraźnie, niby ostrymi grótami bił w pierś Sporysza. Klucznikowi włosy stanęły na głowie, dech w piersi zatamowało.

— Boże! To Pantalacha! — mimowoli wyrwało się półgłosem z jego piersi — i w tej chwili tajemniczy zgrzyt ustał.

Nie wiedząc, co i po co czyni, z trzaskiem i stuknięciem wpadł Sporysz do kaźni. Kaźnia była pusta, wszystko w niej było w porządku, tylko bezmyślne, wytrzeszczone oczy Prokopa spoglądały na klucznika z kąta, z tapczanu.

— A ty co robisz? — krzyknął na niego Sporysz, nie dla tego, by się czegoś dowiedzieć, ale poprostu dla tego, by posłyszeć głos ludzki.

— Ja... ja... śpię — rzekł jękając się Prokop.

— A nie słyszałeś nic?

— Nie, nic.

Sporysz był blady jak trup. Światło latarni, którą trzymał w ręku, padało ukośnie na jego twarz i nadało jej wyraz martwy, okropny. Nie wiedząc co dalej czynić, Sporysz zaczął uważnie oglądać sztaby u pieca, kraty i okucia u drzwi i okna — nigdzie ani śladu pilowania. A przecież harczenie owo trwało tak długo, było tak wyraźnem, że złudzeniem nie mogło

być w żaden sposób. Z ciężkiem sercem, zgarbiony i pochylony niby pod wielkim jakimś ciężarem, wyszedł klucznik z kaźni, zamknął ją i powolnym krokiem oddalił się, co chwila stając i nasłuchując. Ale harczenia już nie było słycać. Cała reszta nocy przeszła spokojnie.

Spokojnie! To, co się działo tej nocy w duszy Sporysza, podobnem było raczej do burzy, obalającej wszelkie zapory i wyrwijającej drzewa z korzeniem, niż do spokoju. W pamięci starego żołnierza ożyły pod wpływem zgrzyoty wewnętrznej i niewyjaśnionego faktu wszystkie wierzenia o duchach i marach, jakimi karmiła go młodość przeżyta pod wiejską strzechą, jakich i w wojsku nie mało się nasłuchiwał. To, co do niedawna odbijało się od jego zdrowego rozsądku, zdrowej natury i czystego sumienia, jak od stalowego puklerza, teraz zdobywało szturmem pozycję i nie znajdowało oporu. Sporysz już nie wątpił, że słycał głos niezemski, że to Pantalachy ręka sprawiała owo harczenie, że to Pantalachy duch pokutuje w miejscu swej gwałtownej śmierci i mści się na swym mordercy. Stojąc na końcu kurytarza Sporysz pierwszy raz ze śmiertelną trwogą spojrział w jego głęboką ciemną czeluść, jak gdyby się lękał, że na tle tej ciemności w najbliższej chwili zobaczy jakieś okropne widmo, które wszystką krew w jego żyłach w lód zmieni od razu. Dreszcz go przejmował za każdym szelestem, a jednak stokroć straszniejszą od każdego szelestu była dla niego ta martwa, okropna cisza, która zalegała więzienie. Nawet żołnierz spiący obok niego na pace nie chrapał, ale oddychał tak cicho i spokojnie, że Sporysz przerażony

aż ku twarzy jego zbliżył ucho, bo w jednej chwili mignęła mu przez głowę myśl, czy też żołnierz ów, posłyszawszy złowieszcze harczenie, nie umarł z przestachu. Gdy jednak za parę godzin żołnierz się obudził i Sporysz zapytał go, czy czego nie słycał, żołnierz najspokojniej w świecie odparł: — Bogu dzięki, nie!

— Bój się Boga, Sporysz, człowiecze, a ty jak wyglądasz! — krzyknął na drugi dzień rano jeden z dozorców, przyszedłszy do służby.

— Co? ja? A jakże mam wyglądać? — rzekł Sporysz zmienionym, rozbitym głosem.

— Jak z krzyża zdjęty! — rzekł dozorca i aż ręce załamał. — Zgarbiłeś się, twarz ci pożółkła, oczy zapadły głęboko w głowę. Co ci się stało?

— Ależ nic, nic! — rzekł Sporysz, machając ręką. — To ci się tak zdaje! Nic mi nie jest.

Dozorca wzruszył ramionami i głową pokiwał.

— Ależ tyś chory, ledwie się na nogach trzymasz, trzęsiesz się jak w febrze, masz gorączkę! — wołał dozorca, stary wojskowy towarzysz Sporysza.

— No, Bóg z tobą! Co ci się śni! Pek-zapek! — odmawiał się Sporysz, siląc się na uśmiech. — Jeszcze naprawdę w mówisz we mnie, że m chor. Nie, mówię ci, że m zdrów. To... tak tylko, nie spałem w nocy. Przespię się po obiedzie, i będzie mi dobrze.

I spiesznym krokiem oddalił się, jak gdyby starał się ująć badawczych oszu starego towarzysza. Rozumie się, że o swej nocnej przygodzie nikomu nie mówił ani słowa. Bał się, by go nie wysmiali. Czekał zresztą,

co powie klucznik, który po nim będzie miał dyżur następnej nocy.

IX.

— Słuchaj no, braciszku — pytał jakoś nieśmiało i z jakimś zakłopotaniem Sporysz następnego dnia klucznika, który po nim miał nowy dyżur w tym samym co on kurytarzu więziennym — słuchajno, czy ty tej nocy... tego... jak się nazywa... nic nie słyszałeś?

— Gdzie?

— No, tutaj, w kaźniach?

— W kaźniach? A chybaż co miałem w kaźniach słyszeć?

— No, ja nie wiem, ale właśnie się ciebie pytam.

— Nie słyszałem nic, albo co? Może ty co słyszałeś?

— Ja? Ależ nie.

I Sporysz oddalił się spiesźnie, unikając dalszych pytań. Widać jednak było po nim, że jakaś trwoga opanowała go i nie dawała spokoju. Chwiał się na nogach, chodził jak nie swój, unikał ludzi, a gdy nie mógł ich uniknąć, to albo milczał, albo odzywał się urywanymi zwrotami, półsłówkami lub zagadnięty nagle gadał całkiem od rzeczy, jak gdyby umysł jego wcale czem innym był zajęty.

To ostatnie było też zupełną prawdą. W umyśle Sporysza panowało jedno wyobrażenie, potężne i pożerające wszystko inne — Pantalacha. Oslawiony złodziej nie umarł, on żył w duszy Sporysza i tam prowadził dalej swe rzemiosło — zwolna, lecz nieustannie pilował

i przerzynał jedną za drugą żywe nici, które łączyły Sporysza z życiem i światem.

Niby robak podgryzał on korzonki jego duchowej istoty. Teraz, gdy nie można go było zamknąć w kaźni, dać do kaziienki lub zasadzić do pracy w „laboratoriach“, gdy stał się niewidzialnym i nieuchwytnym, potęgą jego wzrosła niezmiernie i wszelki opór przeciw niej był daremny.

Mimo to słowa drugiego klucznika mignęły dla Sporysza jak słaby promyk nadziei. A, tamten nie słyszał w nocy nic! Może i ja nie usłyszę! Może to wczorajsze było przecież złudzeniem, pochodziło z gorączki i niewyspania! Ale w duszy coś szeptało mu, że nadzieja to złudna, że straszny gość znowu go w nocy nawiedzi, znowu da mu się posłyszeć. Jeżeli Pantalacha jego tylko obrał sobie za cel, to co ma się dawać słyszeć komu innemu?

Podczas wieczornego obchodu po kaźniach Sporysz zniemacka jakoś rzucił wrokiem na Prokopa i aż zdrzął z przestrawu.

Twarz idyoty była okropną, miała tak dziki, na pół krwiożerczy, na pół przestraszony wyraz, że klucznikowi aż mróz przeszedł po ciele. Przypomnił sobie gadkę ludową, że dzieci i zwierzęta widzą nieraz duchów wtedy, kiedy dorośli ludzie nie widzą nic. Miałżeby Prokop?... Ale nie, nie, to być nie może! Mimo to klucznik nie miał odwagi ani słówka przemówić do Prokopa, wyleciał z kaźni jak oparzony i ledwie mógł drżącymi rękami pozamykać kłódki i rygle.

Skończywszy obchód chodził jakiś czas po kurytarzu

rzu, siląc się do ruchu, czekając, co będzie. Nic nie było. Lecz za ledwie przystanął w końcu kurytarza, przeciwległym od tego, w którym stał żołnierz, gdy rozległ się nowy zgrzyt złowieszczy.

— Hrrr, hrrr, hrrr!

Przejęty nieopisaną trwogą klucznik wydał głuchy krzyk z piersi i rzucił się co tchu biedz w przeciwległy koniec kurytarza, ku żołnierzowi, kiedy coś tam porządkował w swej tornistrze. Po jego okrzyku harczenie natychmiast ustało.

— Sły... słyszeliście? — pytał bez tchu Sporysz żołnierza.

— Co takiego? — rzekł obojętnie żołnierz, zwracając ku niemu twarz.

— Jakto co takiego? Czybaście nie słyszeli?

— Com miał słyszeć? Nie słyszałem nic.

— A... a... to... wiecie, takie... harczenie?

— Harczenie?

Żołnierz wytrzeszczonemi oczyma wypatrzył się na Sporysza jak na człowieka nie spełna rozumu.

— Ależ dopiero co... przed chwilą... ot tak: hrrr, hrrr, hrrr!... — ledwie dysząc, bez związku tłumaczył Sporysz.

— Dobrze, dobrze, będę pilnował — rzekł żołnierz, by zakończyć dyskusję, oczywiście doszedłszy do wniosku, że klucznik jest trochę ponad miary zakropiony.

Tej nocy jednak harczenie już się nie powtórzyło i żołnierz, który nie spał noc całą, nic dosłyszeć nie mógł. Nie dziw więc, że kłął Sporysza w duchu na czem świat stoi, a rano w raporcie dosolił mu twierdząc, że był pijany, że alarmował straż nadaremnie

i gadał coś takiego, co i zrozumieć trudno. Biedny Sporysz został zawezwany przez dyrektora więzienia do wytłumaczenia się, a nie chcąc się przystawiać do swej trwogi przed duchem Pantalacha zeznał, że był niewyspany, że dostał gorączki, w której mu się czasem coś przysłyszy i prosił, by go na parę dni uwolniono od służby, dopóki nie wyzdrowieje. Lekarz więzienny rzeczywiście potwierdził nienormalny stan Sporysza, kazał mu zachować dyetę i zażywać na czczo chininy; a dyrektor dał mu urlop na trzy dni, gdyż zdaniem lekarza choroba wcale nie była groźną i w krótkim czasie powinna była minąć.

Z zaciśniętymi zębami i z ciemną złością w duszy wyszedł klucznik z budynku więziennego i zmiąwszy w dłoń receptę lekarza, rzucił ją do rynsztoku.

— Dureń! — mruknął. — Maca puls, słuca piersi i plecy, i myśli, że poznał chorobę. I pisze recepty. A co się dzieje w duszy człowieka, o to ani się zapyta!

Po trzech dniach Sporysz powrócił do służby — na pozor uspokojony, ale w gruncie rzeczy tylko osłabiony i wycieńczony ciągłą trwogą, ciągłym niepokojem, ciągłymi przywidzeniami. Oswoił się z nimi, czuł, że nie go już nie wyrwie z rąk Pantalacha i poddał się losowi. Wiedział z góry, że najbliższej nocy znowu posłyszy z celi więziennej ów chrzęst przerażający, a mimo to coś ciągnęło go ku tej celi, pragnął jak najprędzej posłyszeć to, co go niedawno taką przejmowało trwogą, był jak ten skazaniec, który z śmiertelną trwogą i z niecierpliwością zarazem czeka odczytania wyroku.

I nie omylił się w swem przeczuciu. Najbliższej nocy Pantalacha dał się słyszeć swym zwykłym spo-

sobem, chociaż przez cały czas niebytności jego nikt nie nie słyszał w tym kurytarzu. W tym czasie cofnięto już straż wojskową z kurytarza, klucznik więc był sam pośród gołych ścian. Chwilę słuchał straszego harczenia jak skamieniały, ale naraz strach śmiertelny ogarnął go, rzucił się ku drzwiom i wpadł do wartowni z rozdzierającym krzykiem:

— Pantalacha! Pantalacha!

W jednej chwili zerwali się wszyscy żołnierze i obskoczyli klucznika, który chwiał się na nogach i był blady jak trup.

— Co się stało? Co takiego? — dopytywano go chórem, ale Sporysz nie mógł ani słowa powiedzieć. Błędnem okiem zataczał dokoła, łamał ręce i poruszał ustami, z których żadnego głosu wydobyć nie mógł.

Straż wojskowa ruszyła na kurytarz — w celach panowała zupełna cisza. Klucznik, którego dwaj żołnierze prowadzili pod ręce, skinieniem głowy wskazał na kaźnię, z której uciekł Pantalacha; drzenie jego zdradzało, że ta kaźnia była powodem jego przestachu. Wzięto od niego klucze, otworzono kaźnię, kapral i jeszcze trzech żołnierze weszli do jej wnętrza, przeszukali wszystko, zrewidowali do naga przeleknionego Prokopa, ale nie podejrzanego znaleźć nie mogli.

Pozostawiono na kurytarzu posterunek wojskowy, a klucznika wzięto do wartowni i ułożono na gołych deskach tapczanu. Leżał niemy, z oczyma w słupek i ciągle poruszał ustami, jak gdyby z kimś niewidomym prowadził niedosłyszalny dla ucha ludzkiego rozmowę. Nad ranem zasnął, ale sen to był niespokojny, gorączkowy. Co chwila rzucał się Sporysz, zgrzytał

zębami, bił rękoma o deski. Niedawna bladeść ustąpiła miejsca gorączkowym rumieńcom, głowa i całe ciało jego były jak w ogniu.

Zawiadomiono dyrektora o chorobie klucznika. Dyrektor pospieszył do wartowni, przystąpił do nieprzytomnego klucznika i dotknął się go ręką, jak gdyby chciał go zbudzić. W tej chwili jednak Sporysz rzucił się gwałtownie na tapczanie i z wyrazem największej trwogi, przewracając krwią zaszele oczy, znowu krzyknął:

— Pantalacha! Pantalacha!

I znowu zamilkł. Więcej nie można było z niego wydobyć. Przywołany z więziennego szpitala lekarz skonstatował zapalenie mózgu i kazał natychmiast przenieść Sporysza do szpitala, wyrażając zarazem wątpliwość, czy uda mu się pacyenta w tak podeszłym wieku przywrócić do zdrowia.

W szpitalu Sporysz pod wpływem zimnych okładów na chwilę przyszedł do przytomności i w urywanych słowach opowiedział dyrektorowi o owym harczeniu, jakie słyszał w kaźni. To była ostatnia jego jasna chwila. Wkrótce przeważył znowu stan gorączkowy i ku północy Sporysz zakończył życie w szpitalu.

X.

Dyrektor upadał ze zmęczenia. W towarzystwie trzech dozorców całego pół dnia robił rewizję po wszystkich kaźniach tego kurytarza, na którym klucznikiem był Sporysz. Zabrano mnóstwo noży, szydeł, gwoździ, szachów robionych z chleba, kart robionych z bibudy, ołówków i tym podobnych zakazanych rzeczy, ale nic takiego, coby usprawiedliwiło podejrzenie, że

ktoś z więźni mógł piłować kraty lub sztaby. Przesłuchano wszystkich więźni, czy nie słyszeli podejrzanego harczenia, ale tutaj dyrektor sam z góry wiedział, że przesłuchiwanie jest daremnem i że żaden więzień, który nie chce przez towarzyszy być uznanym za „kapusia“ (szpiega) i na każdym kroku maltretowanym, nie powie prawdy, chociażby i słyszał coś takiego. I rzeczywiście, harczenia nie słyszał nikt.

Miałożby to być po prostu wypływem rozdrażnionej wyobraźni Sporysza? Ale z opowiadania klucznika mógł dyrektor wnioskować, że gdy Sporysz pierwszy raz słyszał owo harczenie, był jeszcze zdrów i wcale się niczego podobnego nie spodziewał. Przypuszczał dyrektor, że mógł się Sporysz pomylić w kaźni, przypuszczał, że posłyszawszy o tem co się stało, winny więzień mógł podać niebezpieczne narzędzie do innej kaźni, i dla tego zarządził rewizję wszystkich kaźni i wszystkich areztantów na raz. Rewizya pozostała bezskuteczną, a przedewszystkiem ważnem było to, że najstarsze obejrzenie wszystkich krat i sztab nie wykazało nigdzie ani najmniejszego śladu piłowania.

— Tam do starego dyasa! — mruczał raz po raz dyrektor, spluwając z niecierpliwości. Był to jednak stary niedowiarek; w duchy nie wierzył, a zanim się uspokoić namyśli, że wszystko się Sporyszowi „przysłyszało“, chciał spróbować wszystkiego, co mogło doprowadzić do wykrycia prawdy. Postanowił więc jeszcze raz jak najstarszej przeszukać kaźnię Prokopa. Lecz i tutaj przeszukiwanie do niczego nie doprowadziło. Dyrektor kłął po czesku i nogą tupał, wreszcie wpadł

na jakąś myśl i kazał wyjść z kaźni dozorcem. Pozostał sam na sam z Prokopem.

— Słuchaj, Prokopa — rzekł do niego dyrektor — ty w nocy spał?

— Spał.

— A słyszał co?

— Nie słyszał.

— Ne prawda! Ja wim, żeś słyszał!

Prokop wypatrzył się na dyrektora wytrzeszczonymi oczyma, wreszcie uśmiechając się głupowato zapytał?

— A skąd wy wiecie, że ja coś słyszał?

— Skąd ja wim? — rzekł dyrektor. — Ja ti to powim potem, a teraz ty mi mów, co ty słyszał?

— Ja... ja... nie nie słyszał.

— Do sto dyasow! — wrzasnął dyrektor tupnąwszy nogą. — Słuchaj, Prokopa, co ja ti powim! Pryjechał tu twój batko i ptał se za tebou. Mówi: a gde mój Prokop, choczu ho wzat do doma. Dost tu już u panów panował.

Dyrektor wiedział, czem nastraszyć Prokopa. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżał ojciec w odwiedzin do niego, Prokop objawiał tyle strachu, że nie było większej groźby dla Prokopa, jak ta, że go z więzienia odeszła do domu. I teraz Prokop zbladł i zaczął się trząść na nogach.

— Nie... nie... nie! — belkotał — ja nie chcę do domu!

— A powisz coś słyszał w nocy?

— Powiem, powiem.

— No, gadaj.

— A... a... nie będziecie bić?
 — Bić? A to za co? — zdziwił się dyrektor. —
 Za to, żeś coś słyszał?
 — Bo ja to sam zrobił.
 — Coś ty zrobił?
 — A to... takie ładne, co tak mówiło: hrrr, hrrr,
 hrrr, hrrr.

Dyrektor aż na miejscu podskoczył.

— Tyś to zrobił? A ty jak to zrobił?

— Jak? A ot tak.

I Prokop wydobył ze swych gęstych, rozczochra-
 nych włosów kawałek piórka gęsiego, wsadził jeden
 koniec za sztabę drzwi, a drugi koniec parę razy po-
 ruszył palcem. I rzeczywiście, drgające pióro, uderzając
 o dębowe okute drzwi, wydawało dźwięk podobny do
 zgrzytu piłki tnącej żelazo. Dyrektor aż w dłonie klasnął.

— I pocóżes ty to zrobił? — pytał Prokopa.

— Po co? — wypatrzył się na niego Prokop. —

Ni po co, tak.

— A dla czegoż nikt tego nie słyszał prócz Spo-
 rysza?

— Sporysza? A to co za Sporysz?

— Nie wiesz? Ten pan klucznik, co wczoraj zemrzel.

— Klucznik umarł? Sporysz umarł! — krzyknął
 Prokop. — Aha, to ten, co mi odebrał to moje, takie
 ładne, co mi dał Pantalacha!

I nie zważając na obecność dyrektora, idyota za-
 czął skakać po kaźni i klasnąć w dłonie, przymawiając:

— A tak! A tak! Tak mu trzeba! Niech by mi
 był nie odbierał tego co moje! A ja mu za to zagra-
 lem, tak jak grał nanaszko Pantalacha tej nocy, kiedy

uciekał. A ja niby spał, alem słyszał dobrze! A klucznik
 wpadł do mnie w nocy do kaźni, szukał czegoś, ale
 nic nie znalazł. A potem już do kaźni nie chodził,
 tylko stał pod drzwiami i krzyczał. A ja mu grał tak
 ładnie. Ha, ha, ha! A on wziął i umarł! Tak mu
 trzeba!

— Bestya sobacza! — mruknął dyrektor, widząc
 tę bestyjską radość idyoty i zrozumiałwszy cały związek
 tego słów. — No co z nim udelasz! czy bit' ho, czy
 powisit' ho? Kiedy on hloupy jak but! Niech tie hrom bije!

I splunawszy, wyszedł z kaźni.



SPIS RZECZY.

| | |
|--|----|
| <i>Nieco o sobie samym.</i> | I |
| Dwaj przyjaciele | 3 |
| Historya mojej sieczkarni | 18 |
| Hawa | 30 |
| Jeden dzień z życia uliczników lwowskich | 63 |
| Pantałacha | 85 |
